



Warszawa d. 26 Marca (7 Kwiet.) 1878.

N^o 14

Serya piąta.—Rok trzynasty

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 6,—półrocznie rs. 3,—kwartalnie rs. 1 kop. 50—miesięcznie kop. 50. Redakcja i Ekspedycja główna: ulica Czysta N^o 415 (nowy N^o 2).

Każdomiesięcznie jako premium dołącza się jeden tom powieści lub utworów popularno-naukowych, oraz przy każdym numerze arkusz dzieła „Panteon wiedzy ludzkiej.”

Prenumerata na Prowincyi:

Rocznie rs. 8,—półrocznie rs. 4,—kwartalnie rs. 2.

W Austrii, we Lwowie: w księgarni Richtera, cena roczna 14 guldenów;—w W. Ks. Poznańskim u M. Leitgebera 8 talarów.

SPIS ARTYKUŁÓW: Jezuicka Maszyna. — Piękna, dramat w 4-ach aktach, Wł. Okońskiego. (ciąg dal.). — Historia Cywilizacji i badanie natury, podług naukowych konferencyi M. Dubois-Reymonda. I.—Kresy dziejowe. Szkic A. G. Bema. VII.—Kronika Krakowska. (dokończ.).—Morinowie.—O powstawaniu praw moralnych. (dokończ.).—Kronika Powszechna.—Przegląd Polityczny.—Wiadomości handlowe.—Echa XIV.

JEZUICKA MASZYNA.

W miarę jak opada dym kadzideł, spalonych podczas wyboru i koronacji Leona XIII, wynurza się zwolna właściwe oblicze nowego papieża i zarysowują się coraz wybitniej stosunki kuryi rzymskiej. Jeżeli niewątpliwem się zdaje, iż były biskup Perugia niezależnością charakteru—bo o przekonaniach nie jeszcze nie wiemy—czyni znaczny odskok od schorowanego, zdzieciniałego i przez kamaryllę rządzonego swego poprzednika, to niemniej dytyrambiczny ton wielu liberalnych opinij trzeba o parę oktaw zniżyć. Nie można zapominać o tem, co już historia do nowego pontyfikatu przynosi, iż wybór kardynała Pecci nastąpił na skutek ugody między jezuicką partją nieprzejednanych i umiarkowanym stronnictwem. Skoro obie strony, zmierzyszy się na gruncie, spostrzegły, że wbrew sobie własnych kandydatów nie przeprowadzą, postanowiono szukać wyjścia z trudnego położenia w ustępstwach. Wtedy to kardynał Pecci, kandydat partji nieprzejednanych, przyrzekł umiarkowanemu, iż skoro zostanie papieżem, sekretaryat stanu powierzony będzie kardynałowi Franchi.

Jeżeli Leon XIII, idąc za popędem swego ascetyczno-teologicznego charakteru, spasionym watykańskim misjonarzom wskazał właściwe miejsce między dzikimi, jeżeli gwoli oszczędności podziękował za służbę w okropny sposób okradającym puszkę ś-go Piotra sekretarzom, a stare żelaztvo papieżkiej zbrojowni kazał sprzedać, odprawiwszy zbytecznych Szwajcarów—to wszystko pozwolono mu zrobić jako niewinną zabawkę, jako konieczne ustępstwo energii nowego pana. Lecz skoro papież, wbrew nadziejom nieprzejednanych, zapragnął na własną rękę rozwinąć ważniejsze sprawy kościoła, wnet się przekonał, iż, mimo swej nieomyślności i władzy, nie on sam panuje w Watykanie. Już zaraz na wstępie, skoro przyszło do uiszczenia się z obietnicy danej umiarkowanemu, stronnictwo nieprzejednanych wyteżyło wszystkie siły, aby tego niedopuszczyć i zgodę między nowym papieżem a swoimi przeciwnikami zakłócić. Dla kamarylli ideałem sekretarza-kardynała był Simeoni.

Antonelli, mimo olbrzymich dla jezuitów

zmu zasług, był jeszcze zanadto niezależnym i w dodatku, umierając, nieszczęsną swą córką i sześćdziesięcio-milionowym majątkiem zanadto skompromitował kuryę. To też, jak się wyrażają o nim—„postać sekretarza stanu nie przypadła do rozmiarów wielkiego papieża”. Tymczasem Simeoni „jest najbardziej wybitnym przedstawicielem tradycji” „a polityka jego jest w duchu modlitwy Ojczyzny”. Zatrzymać takiego prałata na stanowisku było to odrazu zwyciężyć; jezuita, co im się rzadko zdarza, pokusili się o to pierwsze zwycięstwo—i przegrali. Była przecież chwila, kiedy Simeoni miał zapewniony sekretaryat, a na wieść, umyślnie przedwcześnie puszczoną przez kamaryllę, zagrzały dzienniki klerykalne, iż Leon XIII, powołując kardynała Simeoniego, odciał stwierdzić, że tradycje Piusa IX pragnie przedłużyć i dalej trwać w sprawach politycznych na stanowisku swego wielkiego poprzednika.

Nie udało się — a prawdopodobnie zewnętrzna dyplomatyczna pomoc mocarstw przemogła nieprzejednanych, którzy ustępując po kilku dniach walki przed nominacją Franchi'ego, nie zrzekli się wcale zwycięstwa.

Każdy śledzący za tak ważnymi dla ludzkości obrotami Kuryi Rzymskiej pojmując, iż cała waga chwili leży w tem, o ile papieżstwo okaże się zdolnym swe istnienie pogodzić z wymaganiami cywilizacji, a nawet z nowszymi wyobrażeniami państwami. Głównie więc szło, czy naruszone stosunki dyplomatyczne między Kuryą Rzymską a Prusami i Rosyją dadzą się zawiazać i ustalić, a tym sposobem kwestye sporne łatwiejby było sprowadzić do zgodniejszego układu. Wstąpienie na tron nowego papieża ułatwiało niezmiernie Kuryi Rzymskiej drogę dyplomatyczną, gdyż czyniło pierwsze kroki arcylogicznymi, nie kompromitując stanowiska politycznego. To też Leon XIII osądził, iż wysłanie do Berlina i Petersburga specjalnych posłów z zawiadomieniem o swym wyborze, utworzyłoby drogę do dalszych układów. Lecz zamiar ten, powierzony w najgłębszym zaufaniu, wcześniej doszedł do uszu kamarylli, która posiada tysiące babskich ale skutecznych sposobów i sposobików, tysiące jezuickich kruczków, zdolnych pokonać najwytrawniejszego polityka. Sposobiki te nadały się i w tym wypadku; wnet skutkiem uknutej kabały gru-

chnęła wieść w prasie europejskiej o poselstwach do obu północnych stolic — a naturalnie to, co kiełkowało dopiero w zamiarach Leona XIII, podawano za pewność, za fakt spełniony. Nie omylono się w rachubach. Gdy papież ujrział tajemniczy projekt ogłoszony za fakt, kazał mu zaprzeczyć w *Osservatore Romano*. Tym sposobem zapobieżono odnowieniu stosunków dyplomatycznych, a licząc dalej na ciągły podniecający wpływ stronnictwa, spodziewają się nieprzejednani obecne położenie walki kościoła z państwem utrzymać. Lubo w widokach papieżstwa mógłby leżeć interes położenia końca tej walce, ale niezawodnie nie jest to życzeniem nieprzejednanych i jezuitów, oraz europejskiej partji klerykalnej w różnych krajach. Ubyłoby im pół-wpływu, pół-środków, partya ta bowiem wie dobrze, iż tak zwany „kościół uciśniony” „prześladowany” jest dziś najsilniejszym, gdy tymczasem „kościółowi tryumfującemu” kompletnie się nie wie dzie.

Świeży tego dowód przedstawia Belgia w tej chwili. W kraju tym, skutkiem stosowania zasady „wolny kościół w wolnym państwie”, potrafili klerykalni dojść do znacznej potęgi i wszystkie dyecezyje belgijskie pokryć siecią zakładów wychowawczych ultramontańskich. Jedynie komunalne szkoły miejskie i wiejskie pozostają po za obrębem ich wpływu, a ta okoliczność, nie dopuszczająca jezuitów do zatrudniania najobszerniejszego źródła oświaty, była solą w ich oku. Z nadejściem więc postu biskupi w swych listach pasterskich do wiernych dali hasło napaści na szkoły komunalne, te źródła zarazy, bezbożności, zepsucia obyczajów i wszelkich zbrodni. Wprawdzie rada Gandawy zaprotestowała pierwsza przeciwko temu rodzaju ocenie szkół państwowych i wystosowała do mieszkańców odezwę, aby nie dawali wiary zarzutom niczem nieuzasadnionym; przecież nie przeszkodziło to z kazałnic grzmieć przeciwko szkołom, które tak wychowują młodzież, iż tylko „zandarmi i sądy” mogą ją w karbach utrzymać. Lecz na nieszczęście dla bogobojnych ludzi, owi zandarmi i owe sądy najprzód musiały się wmięszać w gospodarstwo braci zakonnych szkolnych w Tournay, gdzie ich kilku uwięziono, gdyż sławetni przewodnicy pobożności i moralności dopuścili się przestępstwa 50 zbrodni przeciwko wstydnym powieszonym im uczniom. Nie trudno zrozumieć,

jaką klęską jest podobny fakt dla sprawy, dla partii, która, rozwijając się najswobodniej, do takich ujemnych doprowadza rezultatów. Jeżeli podobny wypadek zdarzyłby się w społeczeństwie, wśród którego kościół znajduje się w tak zwanym „ucisku”, nie omieszkanoby go ogłosić za fałsz, za oszczerstwo nieprzyjaciół, ale spełniony w wolnej religijnie Belgii nabiera piorunującego znaczenia.

O tem wszystkim aż nadto dobrze wie partya katolicka, mająca swą głowę nie w papieżu, ale w kamarylli nieprzejednanych, na czele których stoją Bartolini i Ledóchowski. Czy to w Austrii czy w Niemczech, we Włoszech lub Belgii lub też gdziekolwiek indziej, partya ta straciłaby wnet na sile politycznej, gdyby papież zbliżył się do stanowiska więcej umiarkowanego i porobił ustępstwa na korzyść dzisiejszych stosunków. Takiego papieża ultramontanie nie potrzebują i takim, gdyby nawet chciał, być mu nie pozwolą. „Mylnemi okaza się nadzieje tych — pisze jeden z dzienników klerikalnych — co się spodziewali zmiany kierunku i daremnemi usiłowania tych, którzy pozorami umiarkowania, chwilowem zawieszeniem broni, nawet objawami hołdu tak dla zmarłego, jak nowo obranego papieża, pragnęli skłonić papieżstwo do ustępstw prowadzących do abdykacyi wobec groźnych nieprzyjaciół”. A dalej, z powodu hołdów partyj liberalnej, Leonowi XIII składanych, tenże dziennik tak powiada: „Gdy Pius IX wstąpił na stolicę Piotrową, nie brakło także podobnych hołdów; słynny agitator rewolucyjny Ciceruachio utworzył ludową straż honorową, która powóz papieżki zwykła odprowadzać z pochodniami — a potem nastąpił mord hr. Rossi i wygnanie papieża. Chwile takiego entuzjazmu będą równie dziś krótkie. Leon XIII naznaczył już pierwszymi aktami swego pontyfikatu, że z drogi Piusa, która jest drogą Piotra, niczem nie da się sprowadzić, ani przerazić potęgą mocarstw, ani uleść przed pochlebstwem z dołu. Pójdzie on jak jego poprzednik, jak Leon 5-ty, co odparł najazd barbarzyńców od bram Rzymu, pójdzie torami Piusa IX, a za nim pójdą ludy wierne”.

Trudno zaprzeczyć, że to zapatrywanie dobrze wyraża sytuację: osoba papieża jest niczem, systemat jego wszystkim. Nie pamiętam, w której z humorystycznych ilustracji widziałem rycinę, przedstawiającą

O. Beka generała jezuitów, siedzącego przed maszyną przędzącą sieci, a otoczonego strokanymi liberalizmem papieża patrami. „Nie troszcie się ojcowie — mówi pobożny mąż — wszystko pójdzie dobrze, *maszyna jest w pełnym biegu!*”

PIĘKNA.

Dramat w 4-ach aktach.

WŁ. OKOŃSKIEGO.

SCENA VIII.

ZENON i IRENA.

IRENA (*wychodząc z Zenonem z głębi sceny*).

Przecież niepodobna, ażeby i ten występował do miłosnego turnieju przed Emilią.

ZENON.

Czemu nie? Jako żonaty mniej ma do tego prawa niż młody hrabia, ale zato może więcej śmiałości.

IRENA.

Szczęściem, że Emilia będzie umiała w potrzebie opędzić się od tych natrętnych owadów.

ZENON.

Tylko czy opędzić się od nich zechce?

IRENA.

Pan jej nie znasz.

ZENON.

Ale ją widziałem.

IRENA.

To dosyć?

ZENON.

Dla poznania kobiet bardzo wiele.

IRENA.

Co pan masz jej do zarzucenia?

ZENON.

Piękna.

IRENA.

Wada niewielka.

ZENON.

Jak kiedy. Jeśli o to idzie, ażeby bratowa pani wszystkim się podobała, piękność jej nie zawiedzie; ale jeśli o to, ażeby się wszystkim oparła, ta wada jej nie uchroni.

IRENA.

Panie, ona kocha swego męża!

ZENON.

Ale ją wielu kochać będzie. Bóbr, moja pani, ginie przez to, że ma piękne futro, a kolibr przez to, że ma piękne pióra. Odziej pani jednego skórą kota a drugiego opierzeniem wróbla, oba będą mogły bezpiecznie biegać po wszystkich naszych gościńcach. Podobnie z kobietą. Kto ją chce ubezpieczyć, niech ją, jeśli urodziła się piękną, w kolebce okaleczy i zeszpeci. Brzydota jest dla niej najpewniejszą kartą wolnego przejścia przez życie.

IRENA.

Co pan mówisz?

ZENON.

To, o czem pani sama się przekonasz, gdy dłużej żyć będziesz. Przeciwno kobiecie pięknej wszyscy spiskują, a najbardziej ci, którzy ją wielbią. Wabiona wszelkimi pojętami, siłana przez rozum, miłość, bogactwo, znaczenie, obłudę, musiałaby mieć nieczułość skały, ażeby uniknąć rozstawionych na nią sieci. Znałem matkę pani Emilii. Uczciwie wychowana przechodziła potem wszystkie męczarnie i próby, ażeby donieść do grobu swą onotę, którą mimo wysiłków i przywiązania do męża w połowie drogi swego życia straciła. Nigdy nawet myślą nie potępiłem jej za to, bo widziałem jej walkę i niemoc. Kto językiem dzisiejszego obyczaju powiada, że kobieta piękna uszlachetnia mężczyznę, ten do jego serca nigdy nie zajrzał. Ona go naprzód znieprawia, a potem staje się ofiarą jego nieprawości. W jej czarujących oczach dostreże on wszystkie uroki, prócz uroku cnoty.

IRENA (*ślągalnie*).

Panie drogi, na litość, ratuj Emilię, przypomnij jej obowiązki!...

ZENON.

Byłoby to dziś równie skutecznym, jak przypomnieć jej lunacye księżycy. Na dowód spróbuj pani sama tego środka.

IRENA.

Więc nie ma żadnego sposobu?

ZENON.

Przynajmniej ja go w tej chwili nie widzę. Kobiety brzydkie, proszę pani, mają zwykle zupełną świadomość tego, co robią, piękne — tego tylko, co zrobiły. Emilia, o ile z listów pani przekonałem się, sprawdza tę

ECHA WARSZAWSKIE.

XIV.

P. Korzon postanowił objaśnić uczęszczającej na odczyty ratuszowe publiczności, czem być powinien historyk wobec swego narodu i wobec ludzkości. Bezstronność w przedstawieniu faktów z przeszłości i w ich charakterystyce, niezaslepianie się fałszywym patriotyzmem, który tyle kłamstw oraz śmiesznych wywodów podszeptal historykom rozmaitych narodów, poczynszy od Liwiusza, wreszcie wzniesienie ich po nad ciasną sferę spraw jednego narodu lub kraju i czerpanie w dziejach powszechnych kryterium do ocenienia zjawisk życia pojedynczych społeczeństw, oto ideał historyka według p. Korzona. Nie panegirykami i chełpliwością, co gorsza, bezczelnem wynoszeniem swego narodu po nad inne, nie szkalaniami i namiętnym potępieniem wrogów, ale prawdą, choćby gorzką, lecz z uczciwą intencją podaną zasługuje się historyk swemu narodowi, bo temu więcej przyniesie istotnej sławy wykonanie choćby najskromniejszego udziału w dziele ogólnej cywilizacji, aniżeli apoteoza tego, co samo w sobie było maluczkie. Piszemy się na te rezul-

taty wywodów p. K., piszemy się tem chętniej, że ogół nasz a nawet większość czynnie uprawiających niwę dziejową zwykła zniżał historię do roli nierymowanej epepe i uważał nawet za rodzaj apostazy przeniesienie swych badań na dzieje innych narodów. Wyznać jednak musimy, że p. K. wypełnił tylko połowę zadania, że wskazał jedynie stosunek historyka do swego narodu, nie zaś do ludzkości. Bezstronność i wszechstronność są niezaprzeczenie pierwszymi i koniecznymi warunkami historyka, lecz same przez się mogą tylko wystarczyć historykowi narodowemu, choćby nawet historykowi wszystkich narodów, ale nigdy ludzkości. Zasobny w te przymioty dziejopis wynajdzie prawdę wśród ciemności i kłamstw, oczyści z bajek Liwiuszowskich pierwotne dzieje Rzymu, przedstawi prawdziwy obraz przeszłości jednego lub dziesięciu narodów, a nawet przepowie, jak Polibiusz, na całe wieki naprzód zgubę Rzymu, lecz w tym nawet ostatnim wypadku będzie dla nas ideałem nie historyka, jak chce p. K., ale proroka. Pod jego ręką będzie historia wiernem, dokładnem, świętnem opowiadaniem, ale zawsze tylko opowiadaniem, tu i owdzie ożywionem mniej lub więcej szczęśliwą przepowiednią. Będzie więc obrazem przeszłości i co najwięcej mistrzynią życia.

Jakkolwiek pan K. nie wypowiedział wprost swego poglądu na cel i zadanie historii, można jednak było ze słów jego wywnioskować, że nadaje on jej powyższe, ściślejsze znaczenie. Historię, jako nauki, jako badania przeszłości w celu wykrycia w niej ogólnego związku przyczynowego w dziedzinie zjawisk społecznych, t. j. praw rządzących rozwojem ludzkości, nie czuć było w niedzielnym odczycie. Tak pojęta historia nie przepowie przyszłości temu lub owemu szczególnemu narodowi, jak przyrodnik nie przepowie losu tego lub owego drzewa albo sosny, ale wskaże ogólny kierunek postępu całej ludzkości i pojedynczych zjawisk społecznych. Ignorowanie tego naukowego znaczenia historii nie pozwoliło p. Korzonowi wykazać stanowiska historyka wobec całej ludzkości, a nadto pozbawiło pozytywnych dowodów tę część zapowiedzianego tematu, która w odczycie uwzględniona została. Przytoczony bowiem w początku sprawozdania pogląd p. K. na zadanie historyka oparty był prawie wyłącznie na przedstawieniu dogmatycznym zalet i wad kilku historyków, przeważnie starożytnych. Herodot i Polibiusz reprezentowali zalety historyka, Liwiusz i Tacyt — wady. Po ich ocenie nastąpił obszerny stosunkowo ustęp o Machiawelim, jakkolwiek był on przeważnie politykiem i jakkolwiek pan K.

regułę. Mimo całej inteligencji i przytomności umysłu, ulega pokusom bezwiednie. W składanych jej hołdach nie widzi sideł, tylko należne lub bezinteresownie ofiarowane przyjemności. Jeśli czasem spostrzeże, iż się zsuwa po spadzistej pochyłości, to niezawodnie sądzi, że nazad równie łatwo cofnąć się może. Upomnij ją pani dziś, ona się spyta: za co? Dotąd nic złego nie popełniła a naszej pewności, że je popełni, sama nie czuje. Musi więc wprzód coś takiego zrobić...

IRENA.

Wtedy będzie czas na kazanie a wcale nie na ratunek.

ZENON.

Właśnie o to idzie, ażeby ją powstrzymać w tej chwili, kiedy, strąciwszy innych w przepaść, sama dopiero zechce się w nią rzucić.

IRENA.

Dla czego ma innych koniecznie strącać?

ZENON.

Pani kochana, pogódź się raz z tą myślą, że piękna kobieta, jak okrutna bogini, karmi się ofiarami i w kole swych stosunków szerzy pożary. Bratowa pani niejedno serce na popiół spali, a wiesz pani, po co ją głównie przyjechałem? Ażeby jej wyrwać jedną ofiarę...

IRENA (z boleścią).

Henryka! Dotąd jeszcze nie wiem, choć panu już o przecuciach moich pisałam. (po chwili) Ha, trudno! Ocal pan przynajmniej sobie siostrzeńca, jeśli nie będziesz mógł mnie narzeczonego. Pójdę, jeszcze raz przypatrzę się Emilii, czy ona dla mnie i dla Henryka tak straszna. (wychodzi)

ZENON (sam).

Zobaczysz tylko, że piękna. (wchodzi Ryszard z Gracyanem, nie widząc Zenona, którego środkowy klomb zastania)

SCENA IX.

RYSZARD, GRACYAN, później ZENON.

GRACYAN.

Człowiek, panie hrabio, jest zwykle odważnym z musu, a niekiedy z własnej woli. W tym ostatnim wypadku ja właśnie dziś raz pierwszy się znajduję. Jeżeli pan żądasz ode mnie satysfakcji za spór o tańczenie z panią Emilią, dam ich tysiąc i nie przyrzeknę poprawy.

RYSZARD.

Wierzaj pan, że mnie to zapewnienie nie przeraża. Jednak ponieważ pani Emilia, dla uniknięcia awantury, ze mną tańczyć nie mogła, a z panem nie chciała, więc ja nie mam do pana tak wielkiej pretensyi, ażeby jej zapomnieć nie mógł. Idzie mi o coś zupełnie innego. Pan oświadczyłeś się z chęcią założenia botanicznego ogrodu dla męża pani Emilii.

GRACYAN.

I jutro roboty zacznę.

RYSZARD.

Nie mógłbyś pan rzec się tego?

GRACYAN.

A to z jakiej przyczyny?

RYSZARD.

Z bardzo prostej. Jak panu wiadomo, ojciec mój opiekował się profesorem Bosławskim, który jest synem naszego oficyalisty, pomógł mu do uzyskania katedry w uniwersytecie i tak się do niego przywiązał, że chciałby sam wspierać go materyalnie w naukowej karierze. Gdy pan botaniczny ogród dla niego założysz, ojcu memu sprawisz wielką przykrość, tem więcej, że oddawna tą myślą zajęty.

GRACYAN.

Chyba nie od zbyt dawna, bo gdy mu przed godziną o moim zamiarze mówiłem, wcale o swoim nie wspomniał.

RYSZARD.

A jednak zaręczam, że gdy pan ustąpisz, również od jutra ogród urządzić zacznie.

GRACYAN.

Najlepiej urządzmy dwa, niech profesor wybierze sobie lepszy.

RYSZARD.

Po co ktoś ma darmo się rujnować i wysilać na pokonanie współzawodnika?

GRACYAN.

O mnie bądź pan spokojny; ja nie będę potrzebował ani się rujnować, ani wysilać na pokonanie panów.

RYSZARD.

Jakkolwiek masz pan dużo do wyrzucenia guldenów, wszystkie chybić mogą. Bo proszę nie zapominać, że dla profesora Bosławskiego wygodniejszym będzie nasz ogród w mieście, niż pański na wsi.

GRACYAN.

Mila drogi, w karecie — to przeszkoda drobna.

RYSZARD.

Przeciw uporowi upór. Spotkasz pan z mojej strony przeszkodę większą — mówię szczerze.

GRACYAN (tekwestawo).

Eh, nie spotkam żadnej, jeśli na nią nie dam pieniędzy.

RYSZARD (podrażniony).

Nadużywasz pan praw swego wierzycielstwa.

GRACYAN.

Nie nadużywam, bo, jak pan wiesz, pożyczam nawet bez procentu.

RYSZARD.

Owszem, pobierasz pan od nas lichwiarski, tylko nie w pieniądzech, lecz w cierplivej grzeczności.

GRACYAN.

Naśladuję pana i mówię również szczerze.

RYSZARD.

Więc dobrze, założmy dwa ogrody.

GRACYAN (z ironią).

Ja dla męża, a pan?

RYSZARD.

Cóż to za pytanie?

GRACYAN.

Szczerze.

ZENON (który w czasie ostatnich słów zbliżył się niepostrzeżony).

Nie kłóćcie się panowie, bo ktoś trzeci z tego skorzysta. Mogę być waszym rozjemcą?

RYSZARD.

I owszem.

ZENON (do Ryszarda).

Daję więc panu głos.

RYSZARD (do Zenona).

Ojciec...

GRACYAN.

A właściwie syn...

RYSZARD (nie zważając na Gracyana).

Oddawna...

GRACYAN.

Mianowicie od pół godziny...

RYSZARD.

Powziął zamiar założenia botanicznego ogrodu dla profesora Bosławskiego.

głównie polityczne jego teorie rozbił. Za to nowsi historycy zupełnie zostali pominięci lub co najwyżej pobieżną wzmianką dotknięci. Ze szczegółów zaznaczylibyśmy mogli, pomiędzy innymi, niewłaściwość pochwały dla Herodota za to, że nawet Kserksesowi umiał palnąć komplementik, pomimo, że jak sam p. K. twierdzi, nie o nim dobrego powiedzieć nie można, oraz zarzut Tacytowi uczyniony z tego, że z oburzeniem powstawał na chrystyanizm.

Forma odczytu była udatna i zajmująca.

Muzyka Polska stanie do walki o sławę za kilka tygodni na Wystawie Powszechnej w Paryżu. Głośny ze swego talentu we Francji p. Wiktor Każyński przyjął na siebie obowiązek zebrania znakomitszych utworów naszej muzyki orkiestralnej i wystawienia ich na przyszłych koncertach międzynarodowych. W tym celu p. Każyński przybył do Warszawy przed kilku dniami dla porozumienia się z żyjącymi kompozytorami i dla zaprezentowania swego talentu rodakom, których interesów tak gorliwie pilnuje za granicą. Sława, jaka przybycie jego do naszego miasta poprzedziła i zabiegi, jakie rozwinął dla godnego przedstawienia muzyki polskiej na obczyźnie, niezawodnie wpłyną na wyróżnienie koncertu pana Każyńskiego z pośród tylu innych, które co-

dzień prawie rozlegają się w murach naszego miasta.

P. Bronisław Wołowski, redaktor *Messenger de Vienne*, podaje do wiadomości:

„Wystawa międzynarodowa 1878 r. w Paryżu będzie dla wystawców polskich nowem i znakomitem polem dla pokazania całemu światu postępów, jakie nasz kraj we wszystkich gałęziach sztuki i przemysłu uczynił.

Aby jednak uwaga świata przemysłowego została zwróconą należycie na dobroć, trwałość i doskonałość wyrobów polskich, potrzeba koniecznie ułatwić publiczności studyowanie szczegółowe polskiej wystawy.

Dla tego też potrzebnym będzie dla wystawców polskich organ, któryby poświęcił swe szpalty opisowi dokładnemu ich wyrobów w języku francuzkim, będącym nie tylko językiem państwa, rządzącego wystawę, ale i zarazem językiem najbardziej rozpowszechnionym we wszystkich bez wyjątku krajach Europy, przez co i zbyt przedmiotów wystawionych będzie skutecznie ułatwionym.

Udanie się do pośrednictwa dzienników paryzkich, aczkolwiek nie będzie bez korzyści dla wystawców naszych, jednakowoż trzeba mieć na względzie, że pisma te, chociaż nie zapomną o prawach należnych gościom, pisząc o wystawie, popierać będą

przedewszystkiem swoje własne narodowe wyroby i nie można się będzie temu dziwić, że będą przyznawać im we wszystkim pierwszeństwo i stawiać je w swych szpaltach na pierwszym planie.

„Messenger de Vienne” uczyni to samo dla polskiego przemysłu i w tym celu wydawać będzie w Paryżu, z dniem otwarcia wystawy, osobny dodatek, poświęcony jej szczegółowemu opisowi.

Zadanie redakcyi o tyle będzie ułatwionem, że dyrekcyja generalna wystawy w Paryżu przyjęła „Messenger de Vienne” za jeden ze swych organów...

Komisya rządowa austro-węgierska weszła także w podobny stosunek z redakcyą „Messenger de Vienne”. Od niej otrzymaliśmy pod datą 14 stycznia r. b. list urzędowy.

Niżej podpisany sądzi więc, że wystawcy polscy, uwzględniając wyjątkowe usługi, które „Messenger de Vienne” oddać im może na tym turnieju świata cywilizowanego, zechcą w swoim własnym interesie ułatwić redakcyi zadanie przesyłaniem jej, nie czekając na otwarcie wystawy, notatek, wskazówek i opisów, tyczących się ich fabryk, warsztatów i wyrobów, abyśmy je mogli dokładnie wystudyować, uporządkować i wcześniej opracować.

Przy takim obustronnem popieraniu się, zarówno wystawcy polscy jak i redakcyja

GRACYAN.
Męża pięknej pani Emilii.
RYSZARD.
Taż sama myśl przyszła...
GRACYAN.
Wcześniej...
RYSZARD.
Panu Gracyanowi. Otóż pytanie, kto ma ustąpić?
ZENON.
Pański ojciec, czy pan Gracyan?
GRACYAN.
Nie, ja czy hrabia Ryszard.
RYSZARD (do Gracyana rozdrażniony).
W każdym razie hrabia Ryszard będzie ze swym ojcem po jednej stronie, a pan po drugiej.
GRACYAN (do Ryszarda).
W tej chwili przekonam pana, że hrabia Ryszard będzie po swej stronie bez ojca. (wychodzi do salonu) (D. c. n.)

HISTORIA CYWILIZACJI

i badanie natury,
podług naukowych konferencji
M. DUBOIS-REYMONDA.

I.

(Pojęcia nieświadome i Antropomorfizm).

Stanowisko, jakie człowiek zajmował wobec natury i jakie dziki jeszcze dotąd zajmuje, jest wielce różnym od tego, jakie dlań poeci i filozofowie wymyślili. W przyjemnych obrazkach, ich wyobraźnią nakreślonych, nie ma ani jednego prawdziwego rysu. Sielankowe warunki, w jakich sobie młodzieńczą ludzkość przedstawiali, nieureczywistniły się nigdy i nigdzie.

Wszędzie historia człowieka rozpoczęła się okresem kamienia, nie złota. Zamiast tych szlachetnych pasterzów i tych wdzięcznych pasterek, żyjących pod jasnym niebem, w bogatym krajobrazie bez świadomości o użytku swej trzody i napawających się najczystsze szczęściem na łonie cnoty, rzeczywistość ukazuje nam wstrętne i nieokrzesane hordy, walczące z głodem, drapieżnymi zwierzętami i surowością klimatu, pogrążone w brudzie, w ciemności i okrutnym samolubstwie, wśród których kobieta była nie-

wolnicą, a starość przedmiotem udręczeń, gdzie ludożerstwo, z nędzy zrodzone, było uświęconem przez zabobonne zwyczaje.

Moralny stan tych ludzi, jak stan dzieci, trudno nam dziś sobie wyobrazić. Nie możemy zapomnieć o zdobycach wszystkich pokoleń, których ramiona dźwignęły nas na obecną wysokość i z których olbrzymiej pracy, przez wieki nagromadzonej, korzystamy. Jeżeli, jak zapewnia Paweł Broca, przeciętna masa mózgu teraźniejszego paryżanina przewyższa mózg paryżanina z wieku XII, czyż nie wolno nam przypuścić, że dzięki stopniowemu postępowi mózg nasz jest bardziej rozwinięty, niż mózg ludzi okresu kamiennego z przed stu tysięcy lat? Mózg ten, dziś lepiej przez naturę przygotowany, uległ naprzd niezliczonym wpływom mimowiednym, później wpływom wychowania świadomym, które wytworzyły prawie niezmierną odległość między ludźmi ucylizowanymi, a wychodzącymi dopiero ze zwierzęcości. Poczucie przyczynowości—pytanie: dla czego, wybiegające z ust naszych dzieci, jako cenny dowód rozkwitania ludzkiego umysłu, uważane jest przez wielu za podstawową właściwość naszego ducha. Inni w tem poczuciu widzą zdolność pochodną, zrodzoną z władzy uogólniania. Między ludźmi słabo ukształconymi potrzeba przyczynowości zadawalna się tak łatwo, że zaledwie na to miano zasługuje. Nie ma nic ciekawszego, mówi Karol Martins, nad obserwację, jak poczucie przyczynowości jest mało rozwinięte w mieszkańcach Sahary. Dla nich przyczyna w naszym rozumieniu tego słowa nie istnieje równie, jak nie istnieje prawo. Przypisują oni byt nie temu, co jest naturalne, ale temu co nadnaturalne. Inżynier francuzki, kopiący w gipsowych pokładach pustyni artezyjską studnię i obdarzający dobrodziejstwem nowej kępy palm, jest w oczach tych ludzi nie człowiekiem wyższym, który umie otworzyć łono ziemi i w nią swój badawczy wzrok zapuścić, lecz sprawcą cudów, który, chociaż niewierny, pozostaje w lepszych niż oni stosunkach z Allahem i który jak Mojżesz wyciska wodę ze skały. W tym okresie nie ma jeszcze nauki. Jest to dzieciństwo naszego rodzaju, które w tym względzie posiada więcej niż w jakimkolwiek rysów podobieństwa z dzieciństwem pojedynczego człowieka. Jak to ostatnie jest ono rzeczywiście okresem pojęć nieświadomych, które przy pomocy doświadczenia wiodą do

wynalazku pierwszych narzędzi. To wynajdywanie ich nie jest dziełem jednego razu, ani jednego miejsca, lecz wynikiem wielu usiłowań na wielu punktach. Takim sposobem powstały wszystkie praktyczne pomysły, usprawiedliwiwszy wcześniej określenie, jakie dał Franklin o człowieku, nazywając go zwierzęciem, które sobie narzędzia robi. Przejdźmy teraz do okresu antropomorficznego.

Człowiek wcześniej, skutkiem wrodzonej skłonności, zaczął wszystkie mu przyjazne lub nieprzyjazne zjawiska, wszystkie działania przyrodzonych sił, niezależnych od jego woli, uważać jako dzieło istoty mu podobnej, dla jego zmysłów wszakże zakrytej. Przypuszczał on, że owa istota nie jest związana przeszkodami, które jego kępają, lecz przypisywał jej uczucia swoim pokrewne—miłość i nienawiść, wdzięczność i gniew. Suma tych pojęć w pewnym czasie i wśród pewnego narodu stanowi to, co nazywamy religią tego narodu i czasu, jest to antropomorficzny okres pojmowania natury, okres uosobiania jej. Homer stawia jasno przed nami ten stosunek człowieka do natury.

Według Dawida Fryderyka Straussa, skłonność człowieka do personifikowania sił natury ztąd pochodzi, że mu otwiera nadzieję możliwego pogodzenia się z nieznanymi i strasznymi potęgami. Zdaje się jednak, że skłonność ta ma głębszą podstawę. Początkowo człowiek nie zna innej przyczyny zjawisk, jak swoją własną wolę, której ma bezpośrednie poczucie; i dla tego wszystkie zjawiska sprowadza do objawów woli istot sobie podobnych. Hypoteza ta wydaje się o tyle prawdopodobniejszą, że analogiczne uosobnienia, chociaż w doskonalszej formie, istnieją dziś jeszcze, nie zwracając na siebie uwagi, w teoriach przyrodniczych. Zaprzeczyć trudno, że ztąd pochodzi pojęcie siły, które tyle szkody zrządziło nauce i które, pomimo wszelkich tam, ciągle się do niej wiska. Ciągłe spotkania umysły poważnie przekonane, że za pośrednictwem tego rodzaju antropomorfizmu uprzystępniają zrozumienie wzajemnego przyciągania się ciał w próżni. Czyż wola ta, która, według naszych nowoczesnych uczonych, popycha jedne atomy do drugich, jest w gruncie bardzo różną od starożytnych bóstw, ożywiających planety? I tym razem wiedza ludzka wróciła do swojego punktu wyjścia.

Tomasz Buckle w swej *Historji cywilizacji*

„Mes. de Vienne”, będą mogli dopiąć zamierzony rezultat i oddać ojczyźnie naszej i naszemu przemysłowi narodowemu znakomite usługi.

Liczne stosunki, jakie redakcyja posiada w Paryżu, będą z przyjemnością, w razie zażądania, użyte w interesie przemysłowców polskich.

Bronisław Wołowski,
redaktor główny Messenger de Vienne.
Getreidemarkt, Nr. 11 Wien.

Zamierzona *Encyklopedia Wychowawcza* dozna — według wszelkiego prawdopodobieństwa — losu nieszczęśliwego młynarza z bajki. Każdy co innego jej radzi, najlepiej wszakże p. Bądzkiewicz w *Gazecie Warszawskiej*, który dopomina się uwzględnienia tak wysortowanych nauk (!) jak teleologia, hodegetyka i t. p. Pan B. w swojej krytyce projektu *Encyklopedji* podał rzeczywiście wiele uwag bardzo trafnych i wskazał wiele braków bardzo ważnych, ale zarazem postawił wymagania, które tylko do encyklopedji ogólnej słusznie odnieśćby się dały. Pytamy np., co w pedagogicznej ma robić Matejko? Że jest nauczycielem malarzkiej szkoły? Ależ w takim razie wszyscy profesorowie uniwersytetów o miejsce w encyklopedji *wychowawczej* upomnieć by się mogli. Że dziełami swojemi stworzył ory-

ginalną malarzską szkołę? To również stworzyły ją na różnych polach wszystkie genialne umysły. Jeżeli wydawnictwo chce podołać zadaniu, winno nakreślić sobie granice, inaczej będzie wszystkiem i niczem. Jeżeli zaś chce stanąć na wysokości współczesnej wiedzy, nie może płać się w wykład pomysłów zarzuconych i tylko co najwyżej objaśnić ich historyczne znaczenie. *Hodegetyka* ma podobną rację bytu w pedagogice, jak *akridotologia* (teologia szarańczy) w zoologii.

Rozdzielającym dobroczynne wsparcia młodzieży szkolnej proponujemy coś bardzo cennego i praktycznego — mianowicie jawność. Dotąd wiemy zawsze aż do zbytku, kiedy, gdzie i jakimi siłami ma się odbyć koncert lub widowisko, często nawet wiemy, ile zebrano czystego dochodu, ale zwykle na tym najciekawszym punkcie przeryna się publiczna opowieść. Skutkiem tego dobroczynność nasza jest odwrotnie podobną do Nilu, gdyż znamy jej źródła, a nie znamy ujścia. Proponując jego jawność, nie mamy bynajmniej zamiaru kwestyonować dobrej woli dotychczasowego postępowania, chcemy tylko zwrócić uwagę, że jawność taka zbudziłaby i wzmocniła zaufanie ogółu, który, nie widząc wyraźnie przeznaczenia

swych ofiar, często w gotowości do nich słabnie.

Redaktor *Wędrowca* przesyła następujące wezwanie:

„Mając zamiar wydać ile możności dokładny „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i krajów przyległych” proszę wszystkich ludzi dobrej woli o dostarczenie odpowiednich materiałów pod moim adresem: *Warszawa Nowolipie N. 39 Sulimierski Filip*”.

Do odezwy tej dołączamy ze swej strony słowa najgorętszego uznania dla przedsięwziętego wydawnictwa, którego pomysł z pewnością nam bardzo pożądaną publikację a firma — sumienne i poważne opracowanie. Spodziewamy się przytem, że światło umysły chętnie z poparciem pospieszą.

Kronika Rodzinna zawiadamia, że p. Winklerski tłómaczy na język niemiecki *Pana Tadeusza*. Przytoczone z tego przekładu ustępy, chociaż w wielu miejscach nie dostrajają się do oryginału, są jednak bardzo udatnemi próbkami. Jednocześnie *Kronika* podaje fragment tegoż poematu przetłómaczony na język małoruski i komunikuje kilka interesujących w tym przedmiocie wiadomości.

wywodzi, sposobem na pozór bardzo przekonującym, wszystkie religie z widoku natury w różnych pasach ziemi, w których religie te się narodziły. Ukazuje on nam Indie zamknięte od północy górami Himalaj, między którymi Everest wznosi się dwakroć wyżej od Montblanc, gdzie szczyt Kwenlunu prowadzącego do Tybetu sięga prawie najwyższego szczytu gór Kaukazkich i w którego drugorzędna dolinę zmieściłyby się przewrócone Jungfrau, Moine i Eiger. Ukazuje dalej jak półwysep, Indyjski ogołoconymi z portów brzegami wsuwa się w otwarte aż do bieguna i często wzburzone morze. Między temi górami i morzem płyną rzeki, w których dzikie zwierzęta i jadowite węże grożą co krok życiu podróżnika. Według urzędowych sprawozdań, w Indyach angielskich jedenaście tysięcy ludzi staje się coroczną ofiarą ukąszeń węzów, zwłaszcza grzechotników. Nieurodzaje, głód, wylewy następują w Bengalu z okrutną regularnością. Kolebką rozprzestrzenionej dziś po całym świecie cholery jest delta Gangesu. Czyż człowiek, pyta Buckle, nie musi czuć się słabym i bezsilnym wobec takiej natury, która mu grozi tyloma postaciami śmierci? Zamiast dojść do pojęć wyrozumowanych, wyobraza on sobie istoty złe i wszechmocne, których woli przypisuje te niszczące objawy. Przedmiotom swojej bojaźni nadaje boski charakter, stawia im ołtarze i składa ofiary. Dla tego to w mitologii indyjskiej wszystko posiada olbrzymie kształty. Ludzie żyją setki tysięcy lat, okresy świata wyrażają się przez jednostki z sześćdziesięcioma trzema zerami.

Bóg Schiwa, składający z Bramą i Wisznu indyjską trójcę, jest potworem z trzema oczami, z naszyjnikami ludzkich kości i węzową opaską. W rękę trzyma czaszkę, odziany zaś skórą tygrysa. Grzechotnik oplata lewe jego ramię. Zona Schiwy, Durga, ma niebieską twarz, cztery skrwawione ręce, groźne zęby, olbrzymią czaszkę w dłoni, naszyjnik z głów ludzkich i pas z pociętych rąk. Wszystkie więc bóstwa indyjskie wyobrażają coś nieludzkiego, potwornego, jakiś nadmiar członków oraz dziwną barwę.

Buckle również sądzi, że w Ameryce środkowej groźne objawy tropikalnej natury wywarły tenże sam wpływ na pojęcia religijne. Podróżnik Kennan upatruje związek między mieszkancami syberyjskich stepów i posępnością otaczającej ich natury. Koriak,

odosobniony ze swemi trzodami, spotykając przy każdym wschodzie jutrenki gromadę wyjących na około niego wilków, czuwając przez szereg posępnych biegunowych nocy, wierzy na koniec, że żyje wśród złych duchów, których nienawiść zaklinać musi czarodziejstwem i ofiarami z psów.

Buckle przypomina piękne proporce greckiego krajobrazu i usiłuje wywieść z nich ludzki urok mitologii helleńskiej. Otoczona niezliczonymi przylądkami, rojem iskrzących się wysp, wyrasta Hellada z głębi morza pogodna i spokojna, bez wielkich rzek, bez gór wiecznym śniegiem pokrytych, bez wulkanów i pustyń, w tak zdrowym klimacie, że przez ciąg dziesięciu wieków dotknęła ją jedna tylko wielka zaraza. Tam — mówi Buckle — człowiek nie czuł się pogębionym przez naturę. Tam mogła się narodzić poezja, która nas dziś jeszcze ożywia swą nieśmiertelną świeżością, bo źródłem jej nie jest uosobienie niszczących sił natury, lecz chwala wszystkiego, co istotnie ludzkie. Wprawdzie istnieją w greckiej mitologii pewne żywioły potworności, przedmioty odrażające dla ukształconego i wrażliwego na piękność formy oka, Grek wszakże umiał się oprzeć tym potworom, a często nawet je zwyciężać.

Nie trudno byłoby jeszcze dalej posunąć ideje Buckle'a i wyprowadzić równie mono-teizm Semitów z ich pobytu na pustyniach, gdzie natura, w kształty i barwy uboga, odziewała się wyniosłą jednorodnością. Zaprzeczyć więc niepodobna, że teoria zgody religijnych form z widokami natury ma pewną swoją podstawę; nosi ona wszakże na sobie, jak wiele innych wywodów Buckle'a, cechę powierzchownego nieco racjonalizmu, pomija złożone i do wskazania trudne czynniki pośrednie i zbyt ułatwionym sposobem łączy dwa różne szeregi objawów. Nade wszystko błędem byłoby wyprowadzać całą mitologię indyjską z mniemanych okrucieństw natury Indostanu. Między Himalają a południowym morzem rozciągają się wielkie pasy ziemi płodnej, dziś pokrytej bardzo gęstą ludnością, gdzie natura nie wstrząsa wyobraźni żadnym z tych strasznych objawów. Co za wpływ na twórców bramanizmu mieć mogły góry, na które się nie wspinali, lub ocean, po którym nie żeglowali? Czy podobna przypuścić, że żydzi, usadowieni między Gangesem a Indem, byliby wynaleźli bramanizm, a Koriaki, przetrzuceni do Peloponezu — religię helleńską? To nas do-

prowadzi do wniosku, którego ani Buckle ani jego uczeń Lecky nie uwzględnili. Mianowicie, psychologiczne usposobienie szczegółowe pewnej gałęzi ludzkości powstaje między innymi z wrażeń, wywołanych widokiem miejsca, w którym się ona rozwinęła; ów zaś szczególny charakter znowu, w połączeniu z mnóstwem innych warunków, wyrobił religijne formy.

KRESY DZIEJOWE.

SZKIC

A. G. BEMA.

VII.

Wyznaczone w pierwszych godzinach sejmiku delegacje zaczęły pod koniec obrad przedstawiać stanom formalne z odbytych czynności rachunki. Kolejno zatem rozjaśniano ubiegłe roczne sprawy, naprzód Rady (o czem już we właściwym miejscu wspomniałem), a następnie komisji edukacyjnej i rozdawniczej, wojskowej, skarbowej, likwidacyjnej.

Antoni Okęcki biskup chełmski, wraz ze swym współpracownikiem Aug. Sułkowskim, dość po zoilowsku przetrząsali wobec izby w d. 19 października papiery komisji wojskowej koronnej. Okazało się, że hetmani i ich przyboczna rada nie bardzo oględnie publicznym groszem rozrzadzali; że np. niejaki Mezonew (Maisonneuve) „półkownik do kart geograficznych”, pobierający 12,000 złp. rocznej pensji, żadną pracą tytułu swego nie usprawiedliwił, a inny tego stopnia oficer, Mycielski, wysłany po broń do Petersburga, otrzymawszy na drogę 21,230 zł., z powodu jakichś tajemniczych przeszkód z próżnemi powrócił rękoma. Stan obrony krajowej był nad wyraz oplakany. Ilość przytomnego żołnierza w Koronie dochodziła do 9,716 głów; wszystkich zaś smutnej postaci wojaków na regestr wciągniętych liczone 11,946¹⁾. Inna delegacja, zostająca pod wodzą Fr. Osolińskiego b. kijowskiego, wydała na jaśnię d. 21 paźdz. rachunki ko-

¹⁾ „Autoramentu cudzoziemskiego” czyli żołnierza uzbrojonego (?) i ćwiczzonego na sposób w przybliżeniu europejski było podług spisu 5,719 głów. Reszta stanowiła strojnje ubraną, pyszną, ale niesfor-ną hałastę zwaną „autoramentem polskim”.

Znowu dwie świeże mogiły. Pod jedną skryła się dusza młoda, ledwie rozwita, żywymi jednak barwami natchnienia błyskająca — Marya Elżbieta Kamińska, pod drugą umysł połamany i martwy — Leon Rogalski. Pierwsza zeszała do grobu w chwili, gdy życie dopiero pomyślną nadzieją wróżyć zaczęło, drugi — gdy go już zupełnie zawiodło. Mało jeszcze rozgłoszony, ale wielu przymiotami i znaczną siłą obdarzony talent Kamińskiej zostawił w kilku peryodycznych pismach poetyczne po sobie ślady; powszechnie wiadome, ale tylko wytrwałością odznaczające się pióro Rogalskiego wlało do literatury naszej obfity potok przeróbek i tłumaczeń.

Szczęśliwa gwiazda zaświeciła widocznie nad kolebką Orłowskiego. Zwyczajny sobie złodziej, jak setki innych, który podobno czasami dopuszczał się gwałtów względem opierających się i zreszcie wymykał się policyi, nie dość energicznie ścigającej ex-aresztanta, Orłowski zajął uwagę całej naszej codziennej prasy, zawsze stojącej na straży bezpieczeństwa i moralności publicznej. Ujęcie go stało się kwestyą dnia, a życie jego i czyny przedmiotem buletynów zjawiających się co dzień w naszych pismach. Sława Orłowskiego rosła z każdą godziną i rozdymana przez prasę doszła rozmiarów,

którychby Rinaldini mógł się nie powstydząć. Orłowski w powieście tym, Orłowski w powieście tamtym, Orłowski w mieście, Orłowski na wsi, słowem Orłowski przez kilka miesięcy był najformalniejszym bohaterem dnia. Jedno z pism spóźniło wyjście numeru o parę godzin w nadziei otrzymania sensacyjnych wieści, inne znowu ujęcie Orłowskiego ogłosiło wielkimi literami, podobnie jak śmierć Piusa IX i wstąpienie na tron apostolski Leona XIII. Od chwili, w której bohater dnia przestał być człowiekiem swobodnie przechadzającym się po ulicach Warszawy, reporterzy urządzali prawdziwą wędrowkę do Ratusza, do zakładu fotograficznego, w którym fotografowano Orłowskiego, nareszcie na dworzec kolei Wiedeńskiej i do wagonu, w którym O. jechał do Piotrkowa. Szczęściem, do Piotrkowa zadaleko i do domu badań przystęp nie dla wszystkich dozwolony, na pewien czas więc wolni będziemy od wiadomości o losie Orłowskiego, chociaż rzeczy nie można, czy wśród naszych reporterów nie znajdzie się jaki Lord Stanley, który pokonawszy wszelkie trudności, dotrze do wnętrza więzienia i przyjdzie z odczytem: Orłowski w więzieniu i wobec sądu.

„Najlepszą, według nas, ocenę prelekcyi Spasowicza napisały *Nowiny*” — tak zadecy-

dował w Korespondencji od Redakcyi *Wędrowiec*. I cóż to była za ocena? Musiała być bardzo dobra, kiedy: 1) prawomysłne redakcyje przerwały dalszą zamianę swych pism; 2) przysięgli krytycy (a zwłaszcza tak zwani na zimowy sezon specjaliści od prelekcyi) odesłali numeru i 3) reporterzy piśmiennicze według nowej procedury wymówili służbę. Najniebezpieczniejszym z pozorów dla *Nowin* był ten ostatni wypadek, bo — jak powiada francuzkie przysłowie — tonie okręt z którego szczury się wynoszą. Tym razem jednak inaczej się stało. Okręt bowiem, wytrzymawszy burzę, popłynął dalej w zmienionym kierunku pod godłem *prawdy i postępu*. Na naszym więc dziennikarskim morzu pojawiła się nowa, rzadko widywana flaga, którą zawdzięczamy pogwałceniu obowiązku publicznego mówienia... jednobrzmiąco. Gdyby nie to, prawdopodobnie *Nowiny* pływałyby ciągle umęczone przy statkach, których zagłę dumnie błyskają znakami — z jednej strony „teologicznych cnót” ale z drugiej „głównych grzechów”.

misy litewskiej. Wojska utrzymywanego z funduszu tej prowincji było ogółem 4,854; z tych trzecia część blisko przypadła na oficerów. Znając rozległość Rzeczypospolitej, łatwo przy pomocy powyższych danych dojdziemy do wniosku, że jednej mili kwadratowej... *półtora bohatera* broniło. Czyż naród nie mógł się zdobyć na większą siłę militarną? — Owszem; ale zarówno nienawistny szlacheckiej drużynie skład ówczesnego rządu, jak i polityczne warunki mało w ogóle zewnętrznej powadze państwa sprzyjały. Wyjednano u mocarstw ościennych pod epokę sejmku delegacyjnego powiększenie wojska do 30,000; a jednak stany projektu tego nie potwierdziły... Na naszym wiecu odzywają się częste w obozie republikańskim głosy za pomnożeniem sił zbrojnych; gdy wszakże nie zezwalają one ani na Radę, ani na podatki, to trudno im większe jakiegokolwiek przypisywać znaczenie. Król sam nadzwyczajną pod tym względem okazuje wstrzeźliwość, a jeden z gorliwszych jego stronników (Fr. Rzewuski m. n. k.) oświadcza, że chociaż w innych okolicznościach gotów by „trzy części majątku swego” na aukcyę wojska poświęcić, w danej chwili „odradza wyniszczać skarb i dochody obywatelów na przyczynienie żołnierza w jak najmniejszej liczbie *nad potrzebę wewnętrznej służby i jego spokojność*”. — Zdrowej logiki sądowi marszałka odmówić niepodobna. Mógłby ktoś tylko powiedzieć, iż pseudo-rycerska w 1776 r. gromadka była jak „dla parady” i sądowo-policyjnej usługi trochę za wielką... Podobny zarzut, zgola na pozór słuszny, łatwo zachwiać tą jedną uwagą, że stan polityczny Rzplitej był wtedy przejściowy; że krok, jaki na nieutorowanej drodze świeżo zrobiono, odkrywał widoki wzmoczenia się państwa, a więc i rozwoju fizycznej jego obrony. Wypadało tymczasem zogniskować silniej wszystkie odnogi rządu, niż zamykając przed sobą tajemniczych wrót pogodnej może przyszłości. Nie sprowadzano więc do *minimum* i tak już małej armii; choć wyznać trzeba, że przysparzanie jej w ciągu dwunastu lat następnym zółwim postępowało krokiem¹⁾.

Dokonana pod naczelnym kierunkiem księdza Ant. Ostrowskiego rewizya skarbu w Koronie okazała (d. 21 paźdź.), że podatki do kasy państwa nie wpływają. Ogólny przychód w ciągu 17 blisko miesięcy (od 8 kwietnia 75 r. do 31 sierpnia 76 r.), wynosił 12 596,292 złp. Komisję jednakże pochwalila przyjazna jej delegacya za to chyba, że wydatki odpowiednio uregulować zdołano; sumaryusz bowiem, na którym się kontrolerowie opierali, notuje zaoszczędzoną sumę 218,488 złp. Nazajutrz ogłoszono przegląd skarbu litewskiego. Głowa delegacyi biskup Gedroye wystąpił znów z panegirkiem dla króla i wysokiem uznaniem dla podskarbiego Tyzenhauza. Roczny dochód prowincyi nadniemeńskiej stanowił *de facto* 2,299,725 złp. i gr. 8, wydatki zaś publiczne 2,294,801 zł. i gr. 16, — do których jednakże dołączyć należy stratę poniesioną na redukcji monety, a wynoszącą 3,478 złp. i gr. 16.

Dla uzupełnienia konturowego wizerunku oplakanych finansów nie od rzeczy będzie zanotować — jeszcze na podstawie raportu deputowanych do komisji likwidacyjnej — pobieżną wiadomość o ówczesnych długach państwa. Dzieleno jena dwie klasy: w pierwszej mieściły się konieczne i główne, w drugiej — wszelkiego rodzaju podrzędne pretensye. Suma kapitałnych Rzplitej długów, do których zaliczono wierzytelność Stanisława Augusta, wojska narodowego, oraz dwu królewiczów Ksawerego i Karola — wynosi w 1776 r. 11,635,817 zł. i gr. 20.

¹⁾ W przededniu sejmku czteroletniego dorosta ona do 21,000.

Ważniejszym dla dziejów cywilizacyi nad wszelkie inne sprawozdania jest obraz dokonanych czynów i wzajemnego starcia się tych instytucyj, które podczas ubiegłego sejmku, na gruzach mniszej potęgi, pod wpływem dwu przeciwnych prądów powstały. Chcemy tu mówić o komisji edukacyjnej, a nadewszystko o jej walce z rozdawniczymi i pojezuicko-sądowymi komisjami.

Wiadomo, że gdy bulla Klemensa XIV z d. 21 lipca 1773 r. przez sejm delegacyjny została w Polsce przyjęta, pozostałe po zniesionym zakonie jezuitckim włości i skarby przeznaczono zgodnie z wnioskiem Chreptowicza na rzecz edukacyi narodowej. Nie będziemy się tu wdawać w szczegółowy opis intryg Ponińskich, Młodziejowskich, Masalskich; nie potrzebujemy też przypominać, że mniej sumienne jednostki i kliki wcześniej zajęły się *urządzaniem* dziedzictwa, którego prawym właścicielem była „wspólna matka”, idealna osoba Rzeczypospolitej. Dość będzie, gdy powiemy, że utworzonej w październiku 1773 r. komisji edukacyjnej (w skład której weszło ośm, na sześć lat wybranych osób z senatu i stanu rycerskiego) postanowiono *ułatwić* nadzór nad oświatą narodową przez zorganizowanie dwu „komisji rozdawniczych” — do zarządu pojezuickim majątkiem, i dwu „sądowych” — do rozstrzygnięcia wszelkich materyalnych sporów między obywatelami a abstrakcyjnym spadkobiercą. Taka pilna a szeroko rozpostarta nad groszem społecznym opieka była... poprostu zamaskowaną tylko grabieżą. Na czele komisji rozdawniczej w Koronie stał kanclerz Młodziejowski, w Litwie — biskup Masalski, który był jednocześnie prezesem komisji edukacyjnej. Pierwszy, nazwany przez kogoś (ironicznie zapewne) „polskim Machiavellim”, łączył z rzadką siłą umysłową — zamiłowaniem w sybarytyzmie, przedajnością i cynizmem zdziercy; drugi, przenikliwy do pewnego stopnia, słodki w obejściu salonowiec i namiętny kartownik, zajmował się pod tę porę organizowaniem półku imienia Masalskich... Julian Ursyn Niemcewicz tak mówi o pasterzu wileńskim: „nie było próżniejszej nad prałata tego purchawki; nie mogąc jako biskup nosić szpady, do laski, z którą chodził, przypiął sobie port-dépée”. W takich to rękach spoczywała spuścizna po zgasłym zakonie. Nic zatem dziwnego, że czuli obywatele poczuli się lękać, aby przedwieczne ciemności nie ogarnęły wkrótce starej Lechii. Już w d. 11 września (1776 r.) Brochocki poseł łęczycki przełożył izbie sejmowej potrzebę ubezpieczenia funduszu na kształcenie młodzieży; w przeciwnym razie (mówił) „obawiać się należy zupełnego upadku edukacyi i ruiny murów, gdy nie będzie z czego ich utrzymywać”. Nie była to wszelako pora do krańcowej bojaźni, a tembardziej rozpacz filantropów; królowi bowiem i kilku stojącym na straży wybranym jednostkom sprawa oświaty bardzo leżała na sercu. Troskliwość rządu o materyalną dla szkół narodowych podstawę ujawniła się zarówno w wyborze osób, którym zbadanie stanu rzeczy powierzono, jak w samym obrazie dokonanych czynności i ostatecznem rozwiązaniu problemu.

Na 38 posiedzeniu (18 października), gdy dość bezładnie przeróżne podnoszono kwestye, odezwał się człek wytrawnego rozsądku i niezłomnej moey charakteru, biskup Turski, jako prezes deputacyi, egzaminującej komisję edukacyjną, rozdawniczą i sądową obojga narodów. Był to oficjalny wstęp do szczegółowego sprawozdania, jakie niebawem wygłosił podolanin Lipiński.

Komisya edukacyjna (której członkowie żadnej nie pobierali pensyi) miała najwyższy i wyłączny nadzór nad zakładami naukowymi w całej Polsce. Badala ona stan wychowania publicznego — przy pomocy od-

bieranych od szkół kwartalnych raportów, jak niemniej sprawozdań — delegowanych co rok ze swego łona wizytatorów; układała przepisy dla rektorów, prefektów, nauczycieli i dyrektorów, ustanowiła wreszcie „towarzystwo do ksiąg elementarnych”, którego głową był słynny później Ignacy Potocki. Cała ta pedagogiczna Rzeczypospolita, zostająca pod opieką króla, przyjęła kształt zamkniętej hierarchicznej budowli. Podług pierwotnego planu, który w r. 1776 jest jeszcze obowiązujący, każda z trzech prowincyj ma swą szkołę główną („universitas”): Wielkopolska w Poznaniu, Małopolska w Krakowie, Litwa w Wilnie¹⁾. W nadniemeńskiej stolicy istniało już ustanowione za sprawą Poczobuta kolegium astronomiczne. Zakłady naukowe o sześciu klasach, czyli „wojewódzkie” podlegają bezpośrednio nadzorowi właściwej akademii; same zaś rządzą szkołami powiatowymi. Do podstaw nie sięgnęła jeszcze w tej dobie komisya; zamyślała już jednak o ustanowieniu „parafialnych” uczelni, nad którymi by opiekę rozciągali prefekci szkół powiatowych. Niezależnie od tego, w Krakowie i Wilnie założono coś nakształt prytaueum ateńskiego — domy dla wysłużonych nauczycieli. Przy akademiach i szkołach wojewódzkich miano utworzyć niebawem konwikty dla ubogiej szlacheckiej młodzieży; a tymczasem istniały już dwa takie pensyonaty — w Wilnie (na osób 60) i w Ostrogu (na osób 20). — Całe państwo pod względem zarządu naukowego dzieliło się na sześć „departamentów” — 4 w Koronie: mazowiecki, wielkopolski, małopolski i ruski, a 2 w Litwie: wileński i białoruski. Pierwszy z nich zamykał w sobie 10 zakładów naukowych (w tej liczbie 4 wojewódzkie i 6 powiatowych); drugi — 13; trzeci — 6, (akademię w Krakowie, szkołę wojewódzką w Lublinie i 4 powiatówki); czwarty — 14; piąty — 12; szósty — 11. Zależnymi od zbiorowego ciała komisyi, wielkorządzcami tych okręgów byli: Michał Poniatowski b. płocki, Aug. Sułkowski, Ignacy Potocki pisarz w. lit., Adam Czartoryski, biskup Masalski i Chreptowicz. Nie wszystkie uczelnie zależały pod względem pieniężnym od władzy edukacyjnej²⁾: akademie krakowska miała zdawiadawna własną materyalną podstawę, — a podobną samoistnością cieszyły się bazylikańskie na Rusi, oraz niektóre tu i owdzie przez pijarów utrzymywane szkoły. Tak więc czcigodna magistratura potrzęsała workiem tam przeważnie, gdzie mistrzami byli ex-jezuici. Ale z jakąż jej to trudnością dotąd przychodziło. Zależna materyalnie od komisji rozdawniczej, napróżno dopominała się o dokładne wykazy dóbr, sum i klejnotów; wyzebrane zaś prawnie fundusze w małej tylko otrzymywała części. Dola komisji edukacyjnej aż do epoki naszego sejmku była podobną do losu sierot, zostających pod strażą samolubnych opiekunów. Majątkiem jej rządziłi bezeeni wóldarze, którym stany przeszło-sejmowe dały na to wszelkie pełnomocnictwo. W pierwszych więc zaraz początkach władza wychowania narodowego, sprzężona z uorganizowaniem kolegium łupieżców, stała się pozbawionym swobody ruchów niewolnikiem. Nie doręczano jej ani pieniędzy w należytej ilości, ani papierów; lustratorowie dóbr pojezuickich mieli do czynienia tylko z komisją rozbiorczą; a mienie tymczasem przechodziło z rąk do rąk, coraz to inną przybierało postać, tu i owdzie do podziemnych spływało kanałów. Trudno się więc dziwić, że członkowie komisji nie mogli przyprowa-

¹⁾ *Ustawy kom. eduk. z r. 1783* (wydane świeżo we Lwowie w 1872 r.) wspominają już tylko o dwu akademiach: w Krakowie i Wilnie.

²⁾ Dodajemy tu nawiasowo, że szkoły rycerskie miały odrębną organizacyę i rozwijały się poza wpływem zwykłej zwierzchności wychowawczej.

dzić do skutku wielu zbawiennych myśli (jak np. założenia w kraju kilku nauczycielskich seminariów); że przy ubóstwie głównego źródła — prefekci szkół publicznych pobierali po 1,600, a profesorowie najwyżej po 1,200 złp. rocznej płacy.

Z dostarczonej sejmowi przez komisję rozdawniczą tabeli dowiadujemy się, że należny władzy edukacyjnej dochód roczny z dóbr i skarbów pojezuickich w Koronie wynosił 424,118 złp. i gr. 21, w Litwie 537,438 złp. ¹⁾

Opinia publiczna przyjęła naturalnie stronę pokrzywdzonego. Już 19 października (gdy rozstrzygano projekt przyznania pierwszeństwa ciężącym na dobrach sumom ziemianom przed jezuitami) Sierakowski podkomorzy płocki, na zasadzie swej poselskiej instrukcji, pragnie zabezpieczyć fundusz edukacyjny i żąda, aby zbiorowemu ciału, mającemu pieczę nad wychowaniem, dano moc swobodnego rządzenia skarbami; bo jeśli zgasyły zakon spełniał jedno i drugie, to komisya jeszcze łatwiej temu podoła. Wspominany już tylokrótne Bukar głośno płoczaninowi zawtórował. Bardziej jednak oryginalnym, choć w prawnej zasadzie podobnym, było wystąpienie wówczas na widownię słynnego później na sejmie czteroletnim cynika kasztelana Jezierskiego. Odślania on naprzód śmiało, choć w dość ogólnych wyrazach, nagotę kryjących się przed dziennym światłem operacji finansowych, a następnie wnosi podejrzaną wartość projektu wynagradzania połową majątku osób, któreby o jego (t. j. majątku) ukryciu znały. Na posiedzeniu tem, wśród rozdwojenia, wrzawy i wzajemnych przymówek, zgodzono się, aby konstytucją p. n. *Ubezpieczenie sum ziemiankich i pojezuickich* — rozwiązać ręce komisji edukacyjnej w sprawie podnoszenia, przenoszenia i lokowania odanych na jej użytek kapitałów. Było to pierwsze zwycięstwo obrońców narodowej oświaty. Niebawem nastąpił inny bardziej stanowczy tryumf. Młodziejowski i Masalski, jako głowy ciał rozdawniczych, odpięli szczegółowo stawiane im przez deputację zarzuty. Pasterz wileński, który, będąc jednocześnie prezesem komisji edukacyjnej, stawał niejako do walki z samym sobą, nie ściągnął jeszcze na swą głowę zbyt ostrych pocisków; ale kanclerz w. k. gorącą musiał przecierpieć laźnię. Popisywał się on jak mógł miłodoplynną wymową; ostrzył dowcip na śmiałym, choć wątpliwym, rycerzu edukacji, kasztelanie Jezierskim; budował mozolne argumenta, a gdzie nie stało wątku, przypominał, że uchwały zeszłego sejmku zostawiają rozdawniczym i sądowym magistratom zupełną swobodę działania.

Republikanie długo nie chcieli udzielić „kwitu” występny komisjom; ale król przeciął szczęśliwie ten węzeł gordyjski, a izba w d. 21 i 22 października, po krótkim oporze, przyjęła pomysł monarchy. Komisje rozdawnicze i sądowe powędrowały z wyzebranymi kwitami do mogiły; władza zaś edukacyjna stała się panią mniszego majątku i ostatecznym sędzią swych wierzitelności. (D. n.)

KRONIKA KRAKOWSKA.

(Dokończenie).

Wróćmy do karnawału, który rozciąty trzema pogrzebami toczył się zrazu leniwo,

¹⁾ W r. 1781 złożyła komisya edukacyjna wykaz szczegółowy całego funduszu po zmarłym zakonie. Fundusz ten w samych sumach stanowił z górą 4,653,182 złp. Dziesięć razy tyle warte były dobra pojezuickie za bezcen w wieczystą dzierżawę puszczone. Dochód komisji ed. w r. 1783 wynosił przeszło milion trzykroć sto tyś. złp. (Patrz: *Ustawy kom. ed.* — wstęp podług J. Łukaszewicza).

a miał tylko jeden obiad z politycznymi toastami. Obiadowe to intermezzo wydane zostało na cześć nie zachodzącej, ale wschodzącej gwiazdy, co w Krakowie rzecz nie zwykła, i tem się tylko daje fakt ów wytłómaczyć, iż gwiazda wschodziła „ze starożytności kolebki”. Mówiąc prościej, dał Kraków obiad dla sejmowego marszałka hr. Ludwika Wodzickiego, który, jak powiadają, jest jednym z najzdolniejszych posłów sejmku galicyjskiego, a przewodniczy już drugiej sesji.

Czy rzeczywiście p. Wodzicki spełni nadzieje, które na nim pokładają — nie wiemy; dotąd skutki żadne, a prowadzenie rzeczy niekoniecznie taktowne, lecz i pewnej dobrej woli oraz zabiegłości nie można odmówić młodemu marszałkowi. Z powodu tedy jego pobytu w Krakowie dano mu obiad, a na obiedzie, zwyczajem nowoczesnym, palnięto kilka polityczno-okolicznościowych mówek. W liczbie zabranych głosów toastowych, pominąwszy to co stracić trzeba na okoliczności, stanowiska, serwilizm i panegyryzm nieodłączny od naszej natury — odznaczały się słowa samego marszałka i księdza Pelczara.

Dotknął p. Wodzicki bardzo śmiało i zęcznie owego nieszczęsnego separatyzmu, który społeczeństwo nasze dzieli nie na stronnictwa, mające za podstawę czy to przekonania, czy interesa, ale na koterye, czysto prywatnej lub nielogicznej natury; zaznaczył polepszenie, spotęgowanie solidarności interesów krajowych i zerwanie „z tem zgubnym nawykniem, które było przyczyną, że niechęci osobistych nie zawsze sprawie samej poświęcić umiano”. To podniesienie się poziomu społecznego świadczy, „iż ów niby jaskrawy, a przez nieprzyjaciół naszych wyzyskiwany przedział pomiędzy jedną połową kraju a drugą, jest tylko powierzchny, jest jak owe upiory z legendy, których dotknąć się wystarczy, aby znikły bezpowrotnie. To, co nas dzieli, jest na powierzchni — wyjątki, niesłusznie brane za regułę, uprzedzić trochę, trochę tu i owdzie obrażonej miłości własnej, w skutek mniej lub więcej dowcipnych a lekkomyślnie powtarzanych żartów; — a to, co nas łączy, to wspólny cel, wspólna miłość kraju, wspólne poczucie obowiązków, wszystko co może być drogim, wszystko to, co jest nam święte”. Po tym wstępie przedłużyły się nosy stańczyków nad miarę, ta część bowiem kielicha do nich była pić. Lepszym jednak, bo programowym jest dalszy ustęp mowy p. Wodzickiego: „Czem będzie dla nas przyszłość, zależy od tego, czem będzie społeczeństwo nasze. Nikt nas nie zapyta, jakie są myśli i uczucia nasze, najszlachetniejsze porywy nie zaważą na szali, ale pytać się będą, czy mamy w sobie warunki żywotności i porządku, czy zagodziliśmy właśnie wewnętrzne, czy z wolności umiemy korzystać roztropnie, nie popadając ani w bezwładność, ani w swawolę, czy stan ekonomiczny kraju podnosi się, a oświata wzmacnia, czy ziemia rodzinna, ta podstawa bytu narodowego, nie przechodzi w ręce obcych”. Z tej próbki widzimy, iż pan Wodzicki patrzy na zadania społeczne rozsądnie, trzeźwo, że pragnie pracować po drodze równej i pewnej. Na zakończenie biesiady ksiądz Pelczar, doktor 3-tej teologii i profesor uniwersytetu, wznosił toast kochajmy się! Pomijając udatność tej mówki, orator wzywał do miłości ogólnej, bez wyrzeczenia się swych odrębności; wzywał do zgody wiary z oświatą, prawa z wolnością, tradycyi z postępem, przeszłości z przyszłością, wielkich z maluczkimi, uczonych z prostaczkami, bogatych z ubogimi, sukni duchownej ze świecką, dworu z chatą kmiecią, wioski z miastem, Wisły z Peltwią. Słowa te mogłyby nie mieć żadnego znaczenia, być zbiorem pustych frazesów, gdyby nie

wychodziły z ust księdza, gdyby nie były mówione w Krakowie — gdzie nie wielu ludzi ośmiela się nie tylko już mówić, ale myśleć o postępie. Świadczy to, że reakcya przeciwko mameluctwu jezuitickiemu i tu znalazłaby grunt w światlejszym duchowieństwie.

Zgoda, którą zalecał ks. Pelczar — naturalnie nie ta zgoda owcza i nie ta ufność barania, jaką propagują stańczyki — ale zgoda, stawiająca wyżej cel ogólny nad niskie egoistyczne zawiści, interesa i pożądania — zgoda bardzo jest potrzebna wielu tutejszym stowarzyszeniom, które po wybojach osobistości wloką swoją biedkę i nie mogą wyjechać na równy gościniec dobra powszechnego. Mamy tu na myśli przedewszystkiem nasze Towarzystwo Muzyczne, w którym między komitetem a dyrektorem, między obu ciałami a członkami, niekoniecznie zachodzi jedność celu, a osobiste stosunki tak się powikłały, tak stanęły do siebie sprzecznie, iż prędzej czy później zagrożą istnieniu instytucyi. I obecne doroczne posiedzenie ciągnęło się trzy tygodnie, a wrogie sobie siły staczały zacięte boje. Szło głównie o to, aby usunąć tak zwany komitet kontrolujący, który miał za zadanie przygotowane przez dyrektora (p. Fr. Niedzielskiego) i wyuczone już ustępy sądzić i naturalnie według własnych widzeń odrzucać. Rozumiemy, iż komitet taki może być ciałem doradczem w pracy dyrektorowi, ale żeby mu w niej przeszkadzał, żeby wyuczone w ciągu kilkunastu wieczorów utwory odrzucał, z innych, całkiem niż muzyczne względów, to chyba nie należy już do działań dla dobra instytucyi. Po długich korowodach szczęśliwie nareszcie przebrnięto tę trudność i p. dyrektor pozyskał więcej niezależności, która tylko na korzyść towarzystwu i sztuce wyjść może; byleby nowy dyrektor silniej się zakrzętnął koło chóru i zechciał w publicznych popisach zaznajamiać ogół od czasu do czasu z postępami szkoły muzycznej, jaka pod zwierzchnictwem Towarzystwa istnieje. To utworzenie szkoły byłoby najrozsunniejszą podstawą dla przyszłości średniej muzyki w kraju; szkoła bowiem, położywszy sobie za podstawę kształcenie zdolnych muzyków-organistów, wpłynąć z czasem może na utworzenie owych stowarzyszeń miejskich i wiejskich śpiewaków, które nietylko towarzyskiemu życiu nadają przyjemność, ale dostarczają dobrych głosów wyższej muzyce. W ogóle w ostatnich czasach w Krakowie dość pilnie zajmowano się kwestyami szkolnymi i na tem też polega lepsza nasza nadzieja w przyszłości. Dobry przykład daje tu rada miejska, której budżet na szkoły przedstawia dość znaczne sumy, dochodzące do 48,637 guldenów. Oprócz tego miasto własnym kosztem utrzymuje szkołę gimnastyczną i dokłada się do szkoły koszykarstwa, do ogródków froeblovskich, że pominiemy inne naukowe instytucye, równie z funduszu miasta podporę czerpiące.

W tym względzie wyższość systematu reprezentacyjnego, mimo wszystkich jego wad, na gruncie krakowskim jasno się objawia. Mówiąc o wybożeniach, mamy tutaj na względzie owe dziwne losy, jakim niekiedy najlepsze zamiary, myśli pełne żywotności ulegają. Przed kilku laty, — a powtarzamy to za jednym z pism dobrze powiadomionych, — Rada miejska, pragnąc zapobiedz brakowi mieszkań dla klasy rzemieślniczej, wyznaczyła pewien fundusz na pożyczki dla wznoszących takie budowle; między innymi udzieliła takiej pożyczki pewnemu literatowi tutejszemu, który w ostatnich czasach stał się głośnym z powodu przejścia na wiarę stańczyków. Przy pomocy tej pożyczki, wynoszącej podobno 16,000 złr., literat ów zbudował rzeczywiście dom przy ulicy Taniej i nie potrzeba było już nic więcej, jak

tylko filantropijny pomysł Rady miejskiej w czyn wprowadzić, to jest wynaleść jakich biednych rzemieślników, którzyby chcieli mieszkać tanio. Okazało się przecie, że takich rzemieślników biednych wcale w Krakowie nie ma, i zrozpaczony właściciel-literat zmuszony był udać się do magistratu, aby mu lokatorów dostarczył. Magistrat się namyślał, aż się nareszcie namyślił i uznał, że jednym z najbiedniejszych rzemieślników u nas jest c. k. komenda obrony krajowej, tę więc instytucję postanowił w domu wspomnianym umieścić, przenosząc ją z ulicy Karmelickiej na Tanią i ofiarując się płacić za nią *droższe* niż na ulicy Karmelickiej komorne, byle tylko charakter biednego rzemieślnika chciała przyjąć na siebie. Tym sposobem literat-właściciel wyszedł doskonale, gdyż będzie miał drogiego lokatora zajmującego cały dom, wybudowany za pieniądze pożyczone na tani procent i przeznaczony na mieszkania tanie. I ludzie powiadają, dodaje to pismo, że w Krakowie na literaturze nie można się niczego dorobić!

Widocznie nie tak pomyślnie dzieje się p. Koźmianowi, dyrektorowi tutejszego teatru, skoro miał myśl rezygnowania ze swego przedsiębiorstwa. Wprawdzie p. Koźmian wyparł się następnie swego zamiaru, urzędowy jednak organ teatru stańczykowskiego, *Czas*, grozi jeszcze taką ewentualnością. Ta kwestya teatru wywołała nawet dysputę między p. Władysławem Anczycem a p. Koźmianem, w której skonstatowano za obopólną zgodą, że pan dyrektor jest osobistością mało sympatyczną, że się krakowianom już przyjadł, mimo to nie on nie jest winien upadku teatru, ale cała wina leży właśnie na publiczności. W dalszym jednak wywodzie rozeszły się zdania interlokutorów; gdyż p. A. twierdził, iż publiczność nie powinna być wymagająca, skoro nie dość płaci, iż powinna przyjmować, co jej dają lub dać raczą, wcale nie wglądając w ilość i jakość podanego dramatycznego specyfiku. Pan Koźmian zaś sądził w dobroćliwosci swojej, że publiczność ma prawo chodzić na dobre sztuki z dobrą obsadą, a nie bywać na nudnych lichu obsadzonych, ale że on zrobił wszystko, co mógł, i że kraj jeśli chce, aby w Krakowie była scena, winien za to zapłacić, bo bez subwencji, przy niskim kursie rubla, a ztąd ograniczonym napływie podróży, teatr nie może się utrzymać w Krakowie.

Jak tam na przyszłość spór ten zostanie przeprowadzony, czy zakończy się jak tanie mieszkania, ku zadowoleniu p. Koźmiana, nie wiemy — ale tymczasem zanotować trzeba, iż operetka krakowska, której pan Hofmann przewodził, osiadła na mieliznach *Zielonej Wyspy*. Niewątpliwie bufy operetkowe w onym rodzaju *Zielonej Wyspy*, *Nietoperzy*, *Fatinicy* i t. d. są środkiem podtrzymania dla wielu scen, ale nie mogą same w nieludnym Krakowie dokonać utrzymania teatru, pracującego w innych gałęziach dość leniwo. Od niejakiego bowiem czasu skąpe nowości tylko benefisowym zawdzięczamy reprezentacyom. Płacziwa *Mis Mutton*, straszliwi *Gwelfi i Gibelini*, okropna *Emilia Gallioti*... wszystko to i wiele innych, benefisowe są nowalje, które się raz lub dwa ukazują na scenie, aby zniknąć w pomroku zagaszonych kinkietów.

Lecz bądźmy sprawiedliwi... mało teatrowi przeszkadzał karnawał... A... zapomnieliśmy o karnawale, który po uroczystościach papieżkiego pogrzebu z podwójną rozigraną się siłą.

Lecz cóż powiemy na cześć tego bohatera? oto tyle, iż był świetniejszy w tym roku niż kiedy, że błyszczał wszystkimi pożyczanymi zaletami wdzięku, wesołości, szalu; że mu nie brakło ani na balach, piknikach, redutach, tańcach na lodzie, i że na-

reszcie legł snem znużenia, posypany popiołem z rąk ojca jezuita.

Echo.

MORINOWIE ¹⁾.

przez

EMILA ZOLE.

Zima była surowa. Biedny lud nie miał ani roboty, ani chleba, ani drzewa. Morinów gnioła nędza od października do lutego.

Zona pracza, mąż mularz. Mieszkają w Batignolles przy ulicy Cardinet, w domu zarażającym cały cyrkul. Stancyjka ich na piątym piętrze tak zrujnowana, że deszcz przecieka przez sufit a wiatr chodzi swobodnie. Morinowie znieśli by to wszystko, gdyby nie mieli synka, Karolka, dziesięcioletniego chłopczyka, który nie może się obejść bez pożywej strawy, jeśli ma wyrosć na silnego mężczyznę. Delikatny to chłopczyk, lada głupstwo z nóg go ścina. Chodząc do szkoły, zapadał na zdrowie, ile razy zbyt gorliwie zabierał się do nauki, bo chciał się wszystkiego od razu nauczyć. Jest to przytem sprytny, dzielny malec, który rozumuje jak dojrzały człowiek.

Mularzowi i pracze serce pęka, gdy go nie mogą nakarmić, jak należy. Sami już nauczyli swę żołądki kurczyć się, gdy nie ma ich czem zapełnić, lecz żołądek dziecka za delikatny, aby się mógł skurczać w miarę potrzeby. A do tego dzieci w tym domu umierają jak muchy, tak niezdrówę są w nim mieszkania.

Luty wypadł w tym roku śnieżny. Na ulicy rozbijają lód, i stary Morin więc znalazł sobie robotę; oczyszcza zamrażłe kałuże, za co wieczorem przynosi do domu czterdzieści su. Dopóki nie zaczną się budowy, wystarcza to, żeby z głodu nie umrzeć. Lecz razu pewnego Morin, wróciwszy do domu, znajduje Karolka w łóżku. Matka nie rozumie, co się z nim stało. Posłała go do Courcelles, do ciotki, handlującej starą odzieżą, czy nie znajdzie się tam dla niego jakaś ciepła okrywka; całą już zimę chodzi w płóciennej kurtce. Ciotka miała tylko stare paltoty dla dorosłych; malec wrócił drżąc cały, z bezmyślnem wejrzeniem, jak pijany. Teraz leży czerwony jak rak na pościeli, co chwila bredzi, zdaje mu się, że gra w kręgle i śpiewa pieśni.

W pokoju ciemno, bo Morinowa powiesiła kawałek chustki przed oknem, ażeby zasłonić rozbite szyby. Tylko przez pozostałe dwie odkryte górne przedostaje się brudne światło. Nędza wypróżniła komodę — bielizna cała zastawiona. Pewnego wieczoru Morinowie sprzedali nawet stół i dwa krzesła, dla kupienia chleba. Teraz zostaje już tylko deska na dwóch podstawkach, dwa krzesła i łóżko. Karolek spał na podłodze. Ale gdy zachorował, odstąpili mu rodzice łóżko, chociaż mu i na niem niewygodnie, gdyż z materaca wyjęli dużo włosów i zaniesli je do tandeciarki, która płaci po dziesięć su od funta. Teraz ojciec i matka spią na sienniku wypchanym słomą, od którego by pies się ze wstrętem odwrócił.

Rodzice spoglądają na Karolka, który rzuca się w pościeli. Co to się stało z malcem, czego on bredzi? Czy go czasem pies wściekły nie ukąsił lub go jakim zielskiem nie opoił? Przyszła sąsiadka Bonnet i, spojrzawszy na chorego, rzekła, że to gorączka. Ona zna tę chorobę, na nią mąż jej umarł. Słowa te okropnie zatrwodziły Morinów; matka płacze, ściskając Karolka w swych objęciach, ojciec wylatuje jak szalony po

doktora. Rzeczywiście przyprowadza jakiegoś bardzo wysokiego z nadętą miną; na twarzy jego maluje się wstręt przy wejściu do izdebki. Jednakże przykładła ucho do pleców dzieciaka, opukuje mu pierś, nie mówiąc ani słowa. Potem prosi o pióro dla zapisania recepty; lecz u Morinów niema pióra, Bonnetowa więc przynosi od siebie ołówek i kawałek papieru. Napisawszy receptę, doktor milcząc wychodzi. Wtedy matka w strachu biegnie za nim, i pyta słabym głosem:

— Co mu takiego, proszę pana?

— Pleura, — odpowiada lekarz bez dalszych objaśnień.

Potem sam zapytuje:

— Jesteście zapisani do biura dobroczynności?

— Nie, panie... Nie potrzebowaliśmy tego w przeszłym roku. Zima nas dobiła.

— Tem gorzej! tem gorzej!

I doktor schodzi na dół, unikając dotknięcia się poręczą, pokrytej brudem; obiecuje jednakże jutro chorego odwiedzić. Największa trudność polega na pójściu do apteki i kupieniu lekarstwa. Pani Bonnet pożyczła dwadzieścia su. Razem z czterdziestoma su, które przyniósł stary Morin, stanowi to trzy franki; a ponieważ lekarstwo kosztuje dwa franki dwadzieścia pięć centimów, zostaje więc jeszcze piętnaście su na kupienie węgla kamiennych i łojowej świeczki. Pierwsza noc przechodzi szczęśliwie. Matka zapaliła w piecu. Chory zmęczony gorączką, uspokoił się; małe jego rączki gorące i całe ciało rozpalone. Morinowie uspokajają się, widząc go wycieńzonego gorączką. Wmawiają w siebie że jakoś to przejdzie, lecz znowu strasznie się trwożą, gdy doktor, przyszedłszy na drugi dzień, kiwa głową, jak gdyby chciał powiedzieć, że z dzieckiem źle.

W ciągu pięciu dni niema żadnej zmiany; chory leży jak kamień. W pokoju nędza ujawnia się jeszcze widoczniej niż kiedykolwiek, jak gdyby wraz z wiatrem wchodziła przez szczeliny okien i drzwi. Następnego dnia trzeba było znowu wyciągnąć garść włosów z pod chorego na zapłacenie apteki. Trzeciego wieczoru matka sprzedała ostatnie dwie koszule. Następnie, wyczerpawszy wszystkie środki, nie wiedząc, co mają począć. Stary Morin dalej najmuje się do rozbijania lodu, lecz czterdzieści su już nie wystarcza. Przytem robota to nietrwała i w każdej chwili może się przerwać. Ponieważ doktor powiedział, że taki srogi mróz niedobry dla dziecka i może je łatwo do grobu wpędzić, więc Morinowie życzą sobie odwilży, choć przytem biorą pod uwagę, że wraz z odwilżą ojciec pozbawiony będzie ostatniego zarobku. Rano, wychodząc z domu, cieszy się on, gdy widzi ulice pokryte śniegiem i wszystkie kałuże pozamarzane; potem przypomina sobie synka, męczącego się na poddaszu, i pragnie słonecznych promieni, wiosennego ciepła, które spędziłoby śnieg z ulicy.

Ach! gdyby oni byli zapisani do dobroczynnego biura, korzystaliby darmo z pomocy lekarskiej i lekarstw. Matka chodziła do merostwa, lecz jej odpowiedziano że teraz za dużo kandydatów, musi więc poczekać. Wydali jej kilka kwitów na chleb; jakaś litościwa dama dała jej franka. Tymczasem nędza ciągle ich gnębi. Piątego dnia choroby Morin przynosi ostatnie czterdzieści su. Rozpoczęła się odwilż, więc go uwolniono.

Wtedy zaczyna się konanie: niema czem palić w piecu, niema chleba i niema z czem iść po lekarstwo. W ciemnym, wilgotnym pokoju ojciec i matka drżą z chłodu obok umierającego dziecka. Pani Bonnet przestała nawet do nich chodzić, gdyż jest bardzo czuła i przykro jej na nich patrzeć. Pozostali lokatorowie pospiesznie przechodzą

¹⁾ Obrazek ten należy do seryi zatytułowanej: *Jak umierają i chowają we Francji*.

koło ich drzwi. Chwilami łkania tłoczą pierś Morinowej i wtedy rzuca się ona na łóżko, jak gdyby chciała ulżyć cierpieniom dziecka i wyleczyć je, przycisnąwszy do piersi. Morin odurzony, całemi godzinami stoi u okna, a podniósłszy róg chustki, patrzy na odwilż, na wodę, która dużemi kroplami spada z dachów na ulicę. Usiłuje on pocieszyć się myślą, iż może Karolkowi będzie lepiej.

Pewnego dnia doktor oznajmia, iż więcej nie przyjdzie, ponieważ to niepotrzebne. Dziecko już nie wstanie.

— Wilgotna pogoda ostatecznie go zgubiła, — dodaje.

Wtedy Morin grozi pięścią niebu. Więc każda pogoda szkodliwa dla biedaków! Był mróz i było źle: nastąpiła odwilż i stało się jeszcze gorzej. Jeśli żona się zgadza, to najlepiej zapalić fajerkę z węglami i przenieść się wszystkim trojgu na tamten świat. Lepiej od razu skończyć, jeśli nie można dłużej wytrzymać, jeśli niema dla nich miejsca na ziemi. Tymczasem Morinowa znowu poszła do merostwa, gdzie jej obiecano wydać wsparcie. Czekają. O! jak długi i ciężki dzień. Słychać, jak na ulicy deszcz leje. Ciemno i zimno. W jednym rogu sufitu deszcz przecieka tak, że trzeba dla zebrania wody garnek podstawić. Od wczorajszego dnia matka i ojciec nie jedli, mały wypił tylko filiżankę lipowego kwiatu, którą mu stróżka przyniosła. Morin, siedząc przy desce, która służy im zamiast stołu, skrył głowę w dłonie: nie spi, lecz nie wie, co się z nim dzieje, w uszach mu dzwoni. Ile razy czyjeś kroki dają się słyszyć w korytarzu, Morinowa biegnie ku drzwiom, sądząc, że to obiecane wsparcie.

O szóstej godzinie zapada noc, a nikt jeszcze nie przyszedł. Morinów otacza mrok ponury, zimny, dręczący i złowieszczy, jak konanie.

Nagle Karolek szepcze przerywanym głosem:

— Mamo, mamo....

Matka zbliża się i czuje oddech jego na swojej twarzy. W miarę wzrastającej ciemności oddech staje się coraz słabszym; widzi ona, jak dziecko rzuca się w tył skostniałe. Krzyczy więc, błaga:

— Świecy! zapalcie świecę!... Karolku, powiedz coś.

Nie ma już świec. Drżącymi rękami stara się zaświecić zapalki, lecz łamią się wszystkie w jej palcach. Nareszcie udaje jej się oświecić martwą głowę Karolka, która po chwili znika w ciemnościach.

Krzyk wydiera się jej z piersi:

— Ach! Boże mój, on umarł... Patrz no, Morin, on umarł!

Ojciec podnosi głowę, odurzony, oślepiiony ciemnością. Mruczy:

— No tak, umarł? cóż robić... Lepiej.

Poczem znowu opuszcza głowę na dłonie. Nie spi, nie myśli. Gdyby mógł w tym stanie zostać na wieki, byłby szczęśliwym.

Tymczasem Bonnetowa, usłyszawszy jęk matki, zdecydowała się przyjść z lampą. Obie kobiety ubierają dziecko. Ach! jakąż to litość wzbudza taki trup dziecka — chudziutki, leciuchny, jak piórko! Nie widać go wcale na łóżku. Gdyby na nie położono zamrznętego i podniesionego z ulicy wróbla, nie zajęłoby więcej miejsca. Ojciec z matką zmieściliby się z nim na łóżku, i nie byłoby im ciasno.

O siódmej godzinie, gdy już obie kobiety skończyły ubierać dziecko, zastukano do drzwi. Przybyło wsparcie: pięć franków, kwit na chleb i mięso. Stary Morin śmieje się przytłumionym głosem, mówiąc, że biuro dobroczynności zawsze spóźnia się na pościąg; Bonnetowa, która widząc, że dziecko umarło, znowu stała się nader uprzejmą, tłumaczy, że go tem nie wskrzeszą, gdy sami będą koło niego się głodzić; ofiaruje się

zejść po chleb i mięso, obiecując przynieść i świece.

Zgadza się na to. Wróciwszy, nakrywa do stołu i podaje kupione gorące kielbaski. Zgłodniali Morinowie chciwie jedzą obok Karolka, którego blada twarzyczka widnieje z pod prześcieradła. W piecu się pali, wszyscy czują przyjemność. Chwilami oczy matki napełniają się spadającymi na chleb łzami. Ach! gdyby Karolek był żywy, z jaką rozkoszą zjadłby parę kielbasek!

Bonnetowa chce koniecznie przepędzić noc z Morinową. Około północy, gdy stary Morin zasnął wreszcie, położywszy głowę na róg łóżka, obie kobiety palą kawę. Druga sąsiadka, osiemnastoletnia szwaczka, gruba Zofia, została także zaproszoną. Przyniosła z sobą butelkę wódki, aby zyskać prawo do udziału w stypie. I oto trzy kobiety popijają kawę, opowiadając sobie szepcemanem o różnych nadzwyczajnych śmierciach. Żwolna głosy ich się podnoszą, plotki rosną; nie zostawiły już suchej nitki na nikim w domu i cyrkule. Mówią o zbrodni popełnionej na ulicy Nallet, o jednej utrzymance, którą kochanek porzucił, ażeby się ożenić z hrabiną.

O piątej godzinie rano znowu gotują kawę. Czasami Morinowa wstaje i patrzy na Karolka, jak gdyby się chciała przekonać, czy się czasem nie poruszył.

Nazajutrz cały dzień trup pozostaje w domu, gdyż wieczorem nie zawiadomiono o śmierci. Ponieważ Morinowie mają tylko jeden pokój, więc żyją dalej razem z Karolkim, jedzą i spią obok niego. Chwilami zająmują o nim; gdy go znowu zobaczą, odwróciwszy głowę, doznają takiego uczucia, jak gdyby go drugi raz tracili. Wreszcie mija druga noc i grabarze przychodzą po ciało.

Stary Morin poszedł zawiadomić policję, że umarł mu syn a on nie jest w stanie pochować go własnym kosztem. Nie ulega wątpliwości, że policja nie zrujnowała się na trumnie. Wygląda ona jak pudełko do zabawek — cztery licho zbite deski i dziesięć gwoździ. Lecz ponieważ schody są strome, grabarze więc mają dużo kłopotu, — na każdym stopniu trumna uderza o poręcz. Zostawili na dole swe tragi, wążkie, z okrągłym wierzchem, ordynarnie pomalowane na czarno, bez żadnej draperyi. Z Bogiem, w drogę! — prawie galopem biegną do kościoła.

Za tragarzami idzie ojciec z dwoma towarzyszami, których spotkał po drodze; dalej Morinowa, Bonnetowa i gruba Zofia. Cała ta kompania brodzi po błocie. Deszczu niema, lecz mgła tak wilgotna, że przenika na wskroś odzienie. W kościele orszak przyjmuje u drzwi ksiądz w brudnym ornacie, który przedko modlitwy odrzepał. W pięć minut nabożeństwo skończono. Pochód znowu się rozpoczyna po zabłoconym bruku. Cmentarz daleko za fortyfikacyami. Orszak przechodzi przez aleję Saint-Ouaine, przez rogatki i nareszcie dostaje się na cmentarz. Jest to rozległe pole, — rodzaj pustkowiec, otoczonego ze wszystkich stron białą ścianą. Rosną na nim chwasty; rozkopana w wielu miejscach ziemia tworzy wyniosłości, a w głębi widnieje rząd cienkich i czarnych drzew, jak ciemne plamy rysujących się na niebie. Orszak idzie dalej po miękkiej ziemi.

Znowu deszcz padać zaczął a tu trzeba czekać na rozgniewanego księdza, który wychodzi z małej kapliczki. Karolek spocznie w ogólnym grobie. Biedaków chowają w niewielkich równoległych kopanych rowkach: wszystkie jamy zasypują ziemią. Tylko z ostatniej, świecą zawsze nowe deski i trumny. Pole, jakby zasiane czarnymi uwieńczonymi krzyżami, zgnilemi na deszczu, pole zmarłych nędzarzy, opustoszone,

ponure, brudne, — zbiorowisko trupów, których dostarcza głód i chłód w Paryżu.

Już do połowy przysypano Karolka ziemią, i rodzice odchodzą, nie mogąc nawet przykleknąć w błocie grobu. Ponieważ deszcz leje dalej, przeto stary Morin, któremu zostały trzy franki z pięciu przysyłanych przez biuro dobroczynności, zaprasza dwóch towarzyszy i obie sąsiadki do handlu winnego. Całe towarzystwo zasiada u stołu, wypija dwa litry, zakąsiwszy je serem Brie. Potem dwaj towarzysze stawiają również dwa litry. Całe towarzystwo wraca do Paryża w bardzo wesołym usposobieniu.

O powstawaniu praw moralnych.

(Dokończenie).

Przejdźmy z kolei do rozbioru punktów szczegółowych.

Popędy moralne—to dla p. Ch. *contradictio in adjecto*; „popęd bowiem może być bezwiedny”, ale „moralność koniecznie musi być świadoma”. Szkoda, że szanowny krytyk, nieprzebaczający najmniejszej niedokładności wyrażen, związał *musen* tak nieokreślone pojęcie, jakim jest w jego Kantowskim zdaniu „moralność”, której dopytać się niepodobna, czy ona tu znaczy moralne postępkę, reguły lub też uczucia. Zwróć się więc tylko do owego *contradictio in adjecto*. Co to jest popęd? Według mnie, jest to świadoma lub bezwiedna potrzeba organizmu, objawiająca się pewnym stałym kierunkiem woli. Innemi słowy, jest to szereg jednorodnych pobudek, działających w sposób ciągły. P. Ch. nie uznaje popędów świadomych i dla tego w *moralnych*, (które „muszą być świadome”) widzi *contradictio in adjecto*. Zgódźmy się na jego zasadę i sprawdźmy jej wartość na przykładzie. W pewnej społecznej grupie jednostka A. spostrzeżę na drodze skaleconą jednostkę B., którą bez namysłu opatrjuje i do domu prznosi, wzbudzając czynem swoim w innych jednostkach C, D i t. d. uczucie sympatii. Czyn ów był niewątpliwie objawem bezświadomego popędu współczucia, gdyż trudno przypuścić, ażeby nastąpił wskutek świadomego przypomnienia sobie reguły; był przymtem moralny, gdyż zyskał (również w pierwszej chwili nieświadome) uznanie innych jednostek. Jeżeli więc człowiek posiada pewien (jak powyższy) bezwiedny popęd woli, będący przedmiotem sympatii współczunków jego grupy, czyż popędu tego nie można nazwać *moralnym*? P. Ch., wymagając dla moralnego czynu świadomości obowiązku, wznowia dawno i nieodwołalnie zarzuconą w etyce teoryę Kanta, który dla moralności pobudek domagał się koniecznie *Achtung für's Gesetz* z zupełnym wyłączeniem *Neigung*. W wyrażeniu więc „popęd moralny” dostrzegłbym wtedy tylko *contradictio in adjecto*, gdybym za podstawę przyjął systemat Kanta, do czego się w mojej książce wcale nie zobowiązałem.

O ile domysleć się można, reguły moralne, według p. Ch., świadomie utworzone być musiały. Utrzymując przeciwnie, że w procesie powstawania praw moralnych wielki udział przyjmują nieświadome siły duchowe, przeczę w książce mojej takiemu *tworzeniu* owych reguł. P. Ch., przytoczywszy zarzut mój przeciw Platonowi i Hobbesowi, powiada, że „zarzut ten wtedy jedynie zrozumieć można, jeśli się będzie miało na uwadze prawa w znaczeniu przyrodniczym”. Mnie się zdaje, że zarzut ten zrozumie łatwo każdy, kto prawa moralne badać będzie ze stanowiska teorii rozwoju i uważać je, nie jak Plato i Hobbes, za „jednorazowe twory myśli świadomej”, ale za rezultat długiego przerabiania się świadomych i nieświadomych sił duchowych. Według mojego przekonania prawa moralne *naprzód* istnieją w czynach, a potem w świadomie wyznawanych i stosowanych regułach, według p. Ch. (o ile zgadnąć można) *naprzód* w regułach, a potem w czynach. Jeżeli takie jest mniemanie krytyka, nie kuszę się go atakować, skoro całą książką zwyciężyć nie mogłem.

Sumę wszystkich popędów woli nazwałbym egoizmem, rozdzielając je na dwa kierunki: samolubstwa i współczucia. P. Ch. zrobiwszy słuszną, ale dla mnie zupełnie zbyteczną uwagę, że „różnica pomiędzy uczuciami polega na ich wzajemnym do siebie stosunku, nie zaś na jedności psychicznego organizmu”, gdyż to właśnie w podziale popędów uwydatniłem, występuje przeciw pojętemu przez mnie egoizmowi i pyta: „Wszakże i myśli powstają w naszym psychicznym organizmie, a czyż je nazywamy egoistycznymi?” Gdyby p. Ch. pamiętał tylko to, co na poprzedniej stronie napisał — mianowicie, że egoizmem nazywam „popędy woli” — byłby takiego pytania nie postawił. Bo *mysl* nie jest *wolą*; więc nie może należeć do egoizmu. Podobnież nie byłby doszedł do wniosku, że egoizmem nazywam to, co „dotychczas wszyscy (!) psychologowie nazywają *uczuciem*”; gdyż najwyraźniej (na str. 200) powiedziałem: „egoizmem mianuję to, co dawniejsi filozofowie przenośnie nazywali *ciągnięciem na siebie*, a co również,

pożyczysz od Fizyki porównania, można nazwać siłą przyciągania i odpychania woli". Zresztą, gdybym przez egoizm rozumiał uczucie, to zład racya włączania do niego myśli? Czyżby p. Ch. wolę, myśl i uczucie uważał za trzy tylko nazwy jednej rzeczy?

Popędy moralne uważam za szczególną tylko postać samolubnych i współzucuciowych, powstałą z koniecznych stosunków równowagi woli społecznej. „Ponieważ wszystkie ludzkie popędy — słowa mojej książki — rodzą się i kształcą w życiu społecznym, stosunki więc tego życia dostarczają im form moralnych i zaraz od pierwszej chwili ich objawiania się wyznaczają każdej pobudce zakres i prawa działania". To znaczy, że popędy (samolubne lub współzucucio) każdej jednostki, spotykając się z popędami innych jednostek, regulują się do nich i tym sposobem stają się moralnymi. Sumę popędów całej grupy nazwałem „wolą społeczną”, która w stosunku do każdej jednostki z osobą jest „zewnętrzną” siłą, ograniczającą jej własne popędy. Na to p. Ch. odpowiada: „p. S. zamiast przyjąć, że pojęcie powinności może się wykształcić w każdej społecznej jednostce, utrzymuje, że to pojęcie musi przyjść z zewnątrz, t. j. od woli społecznej, która przecież jest uogólnieniem pragnień jednostkowych ze względu na ich wspólność”. Jest to jedna z najpowierzchniejszych uwag krytyka. Bo: 1) utrzymuję, że pojęcie powinności wykształca się w każdej jednostce; 2) pojęcie to musi przyjść z zewnątrz, jak wszystkie pojęcia, gdyż człowiek bez zewnętrznego otoczenia innych ludzi pojęcia takiego w sobie nie wykształcił; 3) wykazałem sam, że „wola społeczna” jest „uogólnieniem pragnień jednostkowych”. Biorąc dosłownie twierdzenie p. Ch., można mniemać, że człowiek może samodzielnie, bez udziału innych ludzi, poznać obowiązki lub że ci ludzie nie są względem niego na zewnątrz. Nawiasem dodam, że stosowanie się do woli społecznej nie „wymaga koniecznie świadomości” — jak to zastrzega p. Ch. — ile razy to stosowanie odbywa się za pośrednictwem popędów bezwiednych; jak nie wymaga świadomości stosowanie się barwy zwierząt do koloru przedmiotów, które są dla nich korzystnymi warunkami życia.

Pomijając rady i uwagi drobne, które wydają mi się albo niezrozumiałe, albo bezcelowe (np. konieczność zastanowienia się nad „etymologicznym znaczeniem wyrazu *ethos*” i t. p.), kilka jeszcze słów dotknę rozmaitych sprostowań, które mi p. Ch. wiedzę moja chciał uzupelnic. Dowodząc, że człowiek nie odziedzicza gotowego i określonego zmysłu moralnego, lecz tylko zdolność nabycia go w pewnych warunkach swego rozwoju, dodałem, że takie również jest *mniej więcej* mniemaniem A. Baina. „O ile znam dzieła Baina — powiada p. Ch. — nie znalazłem w nich tej doktryny”. Ze krytyk ściśle tej doktryny nie znalazłem, nie dziwnego, ale że *mniej więcej* takiej nie przypomniał sobie, to rzecz dziwna. Bain bowiem w III rozdziale swej *Theory of Ethics* (str. 448—459), rozebrałszy szczegółowo (jak objaśniłem w mej książce 125) wszystkie dowody za i przeciw moralności intuicywnej, oświadcza się za tem, że moralne uczucie wykształca się w ciągu jednostkowego rozwoju człowieka pod wpływem wychowania — rzędu, władzy, praw, obowiązków i kar. Te czynniki — mówiąc słowami Baina — ujmują nasze pobudki w sztywny kanał. Czyż to nie jest *mniej więcej* takie mniemanie, jakie wyraziłem, dowodząc, że człowiek posiada od natury tylko możność nabycia moralnej władzy w pewnych warunkach swego rozwoju?

W jednym miejscu mej książki zrobiłem uwagę, iż „stosunkowo niedawno wypowiedziano bardzo prostą prawdę, że człowiek nie może nic czuć *po za sobą*, tylko w sobie”. P. Ch., sztywno z wyrazu *niedawno*, uczy mnie, że „o ile wie, tylko mistycy utrzymywali, że czujemy w Bogu, w absoluście, nie zaś w sobie; wszyscy zaś filozofowie, zarówno idealni jak realni, głosili od dawien dawna, że czujemy w sobie”. Gdyby sz. krytyk wydał ten wyrok z zastrzeżeniem „o ile wie” bez czytania mej książki, byłby o tyle przynajmniej usprawiedliwiony, że istotnie mógł nie wiedzieć. Ale ponieważ go wydał po przeczytaniu mej pracy, w której przytoczyłem dowody uwagi moją popierające, więc muszę mu odpowiedzieć albo zarzutem, że o nich nie pamiętał, albo pytaniem, dla czego im nie wierzył? Zacytowany bowiem przeze mnie (na str. 208) J. J. Rousseau powiada: „Jakżeby w nas zbudziła się litość, gdybyśmy nie przeniesli się *po za siebie* i nie zidentyfikowali się ze stworzeniem cierpiącym, *zrzucivszy własną istotę i wdziawszy jego?* Cierpimy o tyle tylko, o ile mniemamy, że ono cierpi; cierpienie więc to czujemy *nie w sobie, lecz w nim*” (ce n'est pas dans nous, c'est dans lui que nous souffrons). Toż samo wyznaje Schopenhauer. „Wiemy, że ktoś cierpi, a nie my, cierpimy więc *w jego, nie w naszej osobie* (in seiner Person, nicht in unserer)”. Cudze cierpienie, chociaż jest dla mnie czemś zewnętrznym, jednak z nim współczuję i jako moje czuję, *wszakże nie we mnie, lecz w kimś innym* (doch nicht in mir, sondern in einem Andern). Nie powołuję się na twierdzenia Smitha i innych filozofów, gdyż zacytowane świadectwa wystarczą do przekonania, że: 1) nie „wszyscy filozofowie, zarówno idealni jak realni, głosili od dawien dawna, że czujemy w sobie”; 2) nie „tylko mistycy utrzymywali”, że czujemy w kimś innym, że więc p. Ch. zawiodła pamięć i wiedza.

Tenże sam wniosek zrobić muszę odnośnie innego zarzutu. Regułę Hegla: „bądź osobą i szanuj w dru-

gich osobę” nazwałem *przerobieniem* kategorycznego rozkazu Kanta. P. Ch. domyśla się, iż „heglista zauważyłby, że autor bardzo nieuważnie czytał dzieła jego mistrza”. Nie przeczę, że coś podobnego mógłby zauważyć heglista, ale tylko taki, który „bardzo nieuważnie czytał” dzieła Kanta. Filozof ten bowiem, rozwijając swój kategoryczny rozkaz, tłumaczy: „Człowiek jest obowiązany uznawać praktycznie godność ludzkości w każdym innym człowieku” (*Met. d. Sit.* Berlin 1870, s. 314) „Wszystkiego, co chcemy i zdołamy, możemy używać jedynie jako środka; tylko człowiek, oraz każde rozumne stworzenie, jest celem sam w sobie” (*Krit. d. Prak. Vern.* Berlin 1869, ss. 105 i 158). A nawet wyraźnie powiada: „Kategoryczny rozkaz będzie więc następujący: czyń tak, ażebyś ludzkości używał zarówno w własnej jak cudzej osobie zawsze zarazem jako celu, nigdy jako tylko środka”. (*Grundl. d. Met. d. Sit.* Berlin 1870, s. 53). Czyż Hegłowska formuła „bądź osobą i szanuj w drugich osobę” nie jest widocznym *przerobieniem* kategorycznego rozkazu Kanta? Dziwnie czasami „nieuważnie czytają” i zarzuty robią... heglisci!

Już to zarzut „bardzo nieuważnego czytania”, którym p. Ch. raz mnie obdarzył, jemu w recenzji należy się dość często. Pozwól sobie przytoczyć jeden jeszcze, bardzo wymowny dowód. Sz. krytyk sądzi, że „zarówno w tworzeniu się obyczajów, jak i w powstawaniu pojęć moralnych większy należało położyć nacisk na *potrzeby* jednostki zarówno fizyczne jak psychiczne, aniżeli na *przymus zewnętrzny*”. Wyrazy te były dla mnie rzeczywistą niespodzianką, gdyż w książce mojej „większy położyłem nacisk na *potrzeby* organizmu, niż *przymus zewnętrzny*”. Wywodząc prawa moralne z egoizmu, takie podałem wnioski co do jego popędów: „1) wszystkie działają w fizycznym i duchowym ustroju jednostki; 2) mają swe źródło w jego prawach, objawiających się jako *potrzeby*; 3) są bez wyjątku egoistyczne nawet wtedy, gdy dążą do zadowolenia cudzego. Z tych wniosków ułożona definicya egoizmu przedstawia go jako sumę wszystkich popędów woli, łączących się tem wspólnem zamiarem, że każdy jest objawem naturalnej i koniecznej *potrzeby* ludzkiego ustroju” (str. 200. Porówn. 199, 206 i 215). Czegóż tu jeszcze więcej *potrzeba*?

Nadmienić w końcu muszę, jako ujemności krytyki p. Ch. najważniejszą, że to, co było głównem jej zadaniem, mianowicie rozbiór słuszności mojej formuły powstawania praw moralnych, według której „wszystkie te stosunki popędów woli, które, zwycięższy inne postacie ich społecznego układu, nie tylko chwilowo, ale i tak długo w rozwoju utrzymać się zdołają, że z czasem staną się dla następnych pokoleń dobrowolnie zachowywanymi i obowiązującymi normami postępowania, tworzą wzory praw moralnych” — rozbiór, mówię, ten został zupełnie pominięty. Tylko zaś taka analiza, tylko sprawdzenie powyższej konkluzji, dla której właściwie całą książkę napisałem, mogłoby być pożytecznem dla nauki i pouczającym dla mnie. P. Ch., jako pisarz z filozofią obeznany, poważnie dotknął wielu jej etycznych zagadnień, ale, jako niebadający ich specjalnie, zajął się raczej kontrolą pojedynczych zdań mej pracy, niż jej główną podstawą. Ztąd też sprawozdanie jego robi wrażenie luźnych uwag myślącego czytelnika na marginesie książki zapisanych. Po za naprędce utkaną osnową wątpliwi i przeczeń niepodobna dojrzeć żadnej pozytywnej, systematycznie rozwiniętej i uporządkowanej teorii. Zwykle wiadomo, z czem się krytyk nie zgadza, ale nigdzie nie wiadomo, jak według niego powstają prawa moralne. Ciekawemu odpowiedzi na to pytanie autorowi nie udziela on jej ani jednym słowem. Niezależnie wszakże od zakwestyonowanych powyżej sądów p. Ch., niezależnie od zawodu, jakiego doznałem, spodziewając się w jego krytyce znaleźć rozbiór mojej formuły powstawania praw moralnych, wyznać muszę, że krytyka ta, dokonana środkami i sposobami czysto naukowymi, należy u nas do wyjątkowych tego rodzaju objawów i nastroja rzadką sposobność do poważnego sporu.

Mniej ściśłości a nawet obeznania z przedmiotem, tyleż jednak powagi w traktowaniu go okazał drugi krytyk mojej pracy, p. K. Kaszewski w *Bibliotece Warszawskiej* (lutu 1878). Z obszerną wszakże jego recenzją polemizować nie mogę, gdyż część jej zarzutów już wyżej podjąłem, a część oparta na tak różnym od mojego naukowym gruncie, że w krótkiej odpowiedzi do żadnego porozumienia dojśćbym nie zdołał. Względ ten, uniemożliwiający polemikę z pewną tylko częścią twierdzeń lub przeczeń p. Kaszewskiego, uniemożliwia ją w całości sprawozdania p. A. N. w *Echu*, gdzie do walki z moją teorią użyto wyłącznie religijnego oręża, z pominięciem wszelkiej naukowej broni.

Trzy wspomniane glosy, chociaż siłą i wartością niejednakie, zarówno złożyły się na poważną opinię o mojej pracy.

Odezwały się i inne z ramienia śmiałej u nas literatury pyszałkowstwa, niewiadomości i paskiwilu. Jakkolwiek — mówiąc słowami niemieckiego poety — w nauce tego rodzaju moralni ludzie mają tę jedynie wartość, że dwunastu stanowią tuzin, smutny stan naszej krytyki zmusza, jeżeli nie do polemiki z nimi, to przynajmniej do dopełniania ich ubożnej wiedzy. Tę właśnie przysługę wyświadczam krytykowi z *Gazety Polskiej*, panu W. B., następującem objaśnieniem: 1) *Peninsula* nie jest wyrazem francuzkim,

lecz łacińskim, nie nazwą miasta, lecz kraju, dziś pod mianem Hiszpanii znanego. Wyraz ten z opuszczeniem przymiotnika *iberiaca*, jako imię własne jest używany we wszystkich europejskich językach dla oznaczenia Hiszpanii, z równą więc słusznością użyty być może (jak *Panonia*, *Lutetia* i t. p.) a nawet jest używany w naszym, tembardziej, że kto uczył się geografii i widywał starsze mapy, wie, iż na nich Hiszpania krótko *Peninsula* jest oznaczana. 2) *Montagne* nie *Montaigne*, dla tego, że sam *tak* się podpisywał, że na cytowanym przeze mnie wydaniu *tak* jego nazwisko kazała wydrukować siostra, że wreszcie w ostatnich czasach, skutkiem głośniego procesu rodziny *Montagne'ów* *taką* ortografią dla ich nazwiska przyjęto. Co zaś do tej okoliczności, że sprawozdawca, streściwszy (błędnie) moją książkę dla wypełnienia *swojego* artykułu o powstawaniu praw moralnych, *nie* więcej w niej nie znalazł, to brakowi jego wiedzy w tym przedmiocie po za treścią mojej książki zaradzić nie mogę.

Tyle ode mnie na dobroczynny cel naszej krytyki, chociaż ona daleko więcej zasłużyła. Nie mam miejsca, czasu i chęci na urządzenie tu owej znanej w dawnych polskich szkołach ławki, na którą sadzono nieuków i tłumaczono im elementarne prawdy innym znane.

A. Świętochowski.

KRONIKA PWSZECHNA.

a) Krajowa.

Nauki. — Na posiedzeniu biologicznem tutejszego Towarzystwa Lekarskiego świeżo odbytem, Doktor Szokalski mówił o potrzebie zwracania uwagi na to, ażeby nowo budowane domy wystawione były z obu stron na działanie słońca, okoliczność pomieniona bowiem jest nader ważną dla zdrowia. W dyskusji nad tym przedmiotem przyjęli udział D. rowie Dobrski i Chomętowski. Ten ostatni zwracał uwagę na niezbędną potrzebę odpowiedniej ilości powietrza potrzebnego do oddychania dla mieszkańców domów w dużych miastach. Ilość ta winna się regulować przy nowo budowanych domach według stosunku zachodzącego pomiędzy wysokością domu a szerokością ulicy i podwórza przyległego. Dr. Szokalski powtórnie zabierał głos w kwestyi lutowania trumien, zawierających z włoki mające się mieścić w murowanych a otwartych grobach rodzinnych. Lutowanie rzeczzone zostało w ostatnich czasach polecone przez rozporządzenie miejscowej władzy policyjnej.

Oświata i szkoły. — Kwestya szkoły technicznej przy dr. żel. Terespolskiej na dobrej znajduje się drodze. Niezdecydowana jeszcze tylko miejscowość, gdzie się ma znajdować szkoła. Miano ją zamierzać ułożyć na Pradze, ostatniemi jednak czasy dochodziły wieści o Terespolu i Łukowie.

Prasa peryodyczna. — Dr. Teodor Tripplin, znany autor podróży, po kilkunastoletnim milczeniu napisał powieść p. t. *Szatański Anioł*, którą drukuje obecnie *Kaliszanin*. — W Kaliszu powzięto zamiar założenia nowego pisma peryodycznego p. t. *Gazeta Kaliska*.

Literatura. — Przewodnik do klimatyzacji leczenia, przez D. ra Med. Zygmunta Dobieszewskiego, członka wielu towarzystw naukowych, lekarza zdrojowego w Marienbadzie. Warszawa 1878 r. — *O różnych metodach leczenia*, według prof. D. ra Karola E. Bock'a, opracował Stanisław Wojciech Łukowski. Warszawa 1878 r. — *Książka dla wszystkich*, przepis, dotyczące najmu sług miejskich i wiejskich, przez J. Z. Warszawa 1878. — *Rozbiór krytyczny dzieła Wilhelma Drapera*, p. t. „Historja zatargu religii z nauką”. Warszawa 1878 r. — *Praktyczny kucharz warszawski*, zawierający 1500 różnych potraw, oraz przepisy przyrządzania zapasów spiżarnianych i pieczenia ciast za rs. 1. Zeszyty 1—7, cena zeszytu kop. 10. Warszawa 1878 r. — *Prawo i sądy*. Wskazówki praktyczne dla nieprawników, wydawnictwo Ant. Pileckiego i Stan. Kowalskiego, zeszyty 10—13. Warszawa 1878 r.

Sprawy społeczne. — W dniu 26 b. m., odbyła się znowu narada emerytów, na której rozpatrzone projekt, podany przez jednego z emerytów, p. t. „Marzenia i myśli”. Wszystko, co było praktycznem, pomieszczone w przygotowującej się ustawie dla kasy wkładowo-zaliczkowej dla emerytów. W pracach powyższych, oprócz delegacyi, kilku emerytów i projektodawca przyjęli współdziałal, a R. R. S. Rogalewicz, aby skorzystał na czasie, przekłada ustawę na język rossyjski, gdyż poprawki mało znaczące, jakie dopełnione będą w d. 6 kwietnia, będzie można natychmiast dopełnić. Fundusze emerytów składane w nowo projektowanej się kasie będą własnością składających lub ich rodziny. Dla uczynienia nowej instytucji rzeczywiście przystępną i dogodną, należałoby udzielać pożyczki bez poręczeń. Ryzyko rozdzielone na całą masę emerytów jest niewielkie, a ulga dla członków byłaby ogromna. — W miasteczku Sobotnikach, w Oszmiańskim, ma być założoną kasa zaliczkowo-wkładowa dla włościan. — Powstał jeden jeszcze projekt uczczenia jubileuszu Kraszewskiego. Pewne kółko wykształconych żydów naszych, ze względu na bezstronne przedstawienie w utworach jego postaci żydowskich, serdeczne i miłości pełne traktowanie przez czcigodnego jubilata kwestyi społeczeństwa naszych żydów, czego wyraźnie i znane w działalności swej dał dowody, postanowiło przyczyniając się o ile możliwości do udziału w ogólnem

uczczeniu jubilat, w osobnym prócz tego upominku dać dowód swej ku mistrzowi miłości. Jak dotychczas jest to projekt bez ustanowionej jeszcze formy.

Institucje prywatne.—Wczoraj pod przewodnictwem kuratora Okręgu Naukowego sen. Witte, prezesa Towarzystwa, odbyło się ogólne zebranie członków Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem. Po odczytaniu przez Hipolita Skimborowicza, członka komitetu, sprawozdania z działań Towarzystwa w r. z., vice-prezes Towarzystwa wezwał członków do zabierania głosu w przedmiocie sprawozdania. Gdy jednak nikt głosu nie zabrał, komitet wniósł o zatwierdzenie sprawozdania. Obecni zatwierdzili je jednogłośnie, dano komitetowi pokwitowanie. W końcu tego krótkotrwałego posiedzenia dopełniono wyboru do komitetu i do delegacji rachunkowej. Z grona artystów do komitetu powołani zostali: pp. Gerson Wojciech, Pruszyński Andrzej, Lesser Aleksander, Schimmelfennig Adolf, Cichocki Edward, Brodowski Józef; z grona zaś miłośników sztuki: pp. Sobanski Feliks, Wierchlejski Roman, Skimborowicz Hipolit, Jenike Ludwik, hr. Zamoycki Stanisław i Gebethner Feliks. Do delegacji rewizyjnej: Derke Karol, Jaworski Wincenty i Wrotnowski Lucyan.

Reformy.—Pisma nasze donosiły już o postanowieniu w wyższych sferach administracyjnych, zapadłem w przedmiocie spisu ludności potrzebnego do podziału projektowanych podatków. Otóż obecnie, jak donoszą gazety rossyjskie, postanowiono utworzyć oddzielne w każdej gubernii komiteta, którym podporządkowane będą komisje powiatowe i gminne dla zebrania materiałów do owego spisu ludności. Zapewne ze strony urzędowej dowiemy się bliższych o tem szczegółów.—Kwestya wprowadzenia systematu metrycznego miar i wag, wstrzymana wskutek zawieruchy wojennej, znów weszła na lepszą drogę; komisya, pracująca nad tym przedmiotem, rozpoczęła już czynności, a wkrótce podobno wypracowany zostanie odpowiedni projekt, mający być poddany najpierw rozpatrzeniu akademii nauk i dopiero potem przedstawiony do zatwierdzenia właściwym rządowym instytucyom.—Komisya, pracująca nad reformą uniwersyteckiej ustawy, ukończyła już swe czynności; rezultaty ich ogłoszone zostaną w pismach specjalnych.—*Głos* donosi, iż w tych dniach pod rozpatrzenie i zatwierdzenie Rady Państwa przedstawionym został projekt urzędzenia głównego zarządu nad lasami w Królestwie Polskiem. Projekt dzieli kraj na dwa okręgi: Warszawski i Radomski. Do pierwszego należeć będą lasy położone w guberniach: Warszawskiej, Łomżyńskiej, Płockiej, Suwałskiej i Siedleckiej, do drugiego znajdujące się w guberniach: Kaliskiej, Kieleckiej, Lubelskiej, Piotrkowskiej i Radomskiej. Na czele zarządu, który ostatecznie Ministerstwu Dóbr Państwa podlegać będzie, stanie inspektor główny. Dotychczas lasami temi zarządzało Ministerstwo Skarbu za pośrednictwem izb skarbowych.

Dobroczytność.—Wkrótce ma się odbyć koncert na dochód niezamożnych studentów. Urządzać go ma p. Józef Wieniawski, a udział przyjmą najpierwsze siły artystyczne.—Wystawa obrazów Matejki, na korzyść Warsz. Tow. Dobr., odbędzie się dopiero po ukończeniu prelekcji na dochód Osad Rolnych, gdyż ma być urządzoną w Ratuszowej sali.

Handel i przemysł.—Zarząd celny, jak donoszą gazety rossyjskie, zezwolił na przyjmowanie monet srebrnych po rs. 1 kop. 50 i kop. 75 (dziesięć i pięćdziesiąt kop.) przy opłacie cła, w razach, gdy podług obowiązujących przepisów o opłacie cła złotem dozwolona jest dopłata drobnych srebrnymi piędziemi. — Na targach warszawskich dowozy zboża na osiach ciągle się zmniejszają a powiększają kolejami, dostarczając najwięcej towaru ruskiego. — Na giełdzie produktowej w Warszawie głównie traktowanymi są transakcje na cukier, inne zaś albo wcale lub w nadzwyczaj miniaturowych przedstawiają się rozmiarach.

Komunikacje.—W Kieleckiem wkrótce rozpocznie się naprawa dróg szosowych gubernialnych, a mianowicie: noworadomsko-opatowskiej, skierniewicko-barańskiej, piotrkowsko-korczyńskiej, żarecko-staszowskiej, zawierko-działoszyckiej i słomnicko-proszowskiej. Również odbywać się będzie naprawa mostów. — Ruch osobowo-towarowy na drodze żelaznej odeskiej został już przywróconym. Kolej Terespolska przyjmuje już transporta na drogę ową kierowane. Wysyłający towary winni pospieszać z transportami—kolej odeska bowiem narażona jest na nieprzewidziane zatamowanie lub zajęcie całego ruchu.—*Kuryer Codzienny* donosi o projektowanych nowych drogach żelaznych, których budowa ma być rozpoczętą w niedalekiej przyszłości, mianowicie: a) drogi żelaznej, których kierunek przez rząd zatwierdzony został. 1) z Iwangrodu (Dębina) na Sieciechów (powiat Koziński), Radom, Szydłowiec, Kielce, Chęciny, Jędrzejów, Miechów, Słomniki do Krakowa, z odnogą około Miechowa na Wolbrom, Olkusz, Sławków do Strzemieszyc, przystanku dr. żel. Warszawsko-Wiedeńskiej. 2) od stacji dr. żel. Nadwiślańskiej Trawniki, na Krasnystaw, Zamość, Tomaszów lubelski ku Lwowu. 3) od stacji dr. żel. Łódzkiej w Koluśkach na Tomaszów Rawski, Białaczew, Końskie, Wąchock, Wierzbnik do Ostrowca w gubern. Radomskiej, dalej do Sandomierza są dopełnione studia. b) Drogi żelazne, których studia dopełnione zostały kosztem rządu. 1) z Lublina na Chodel do

Ostrowca Radomskiego. 2) z Ostrowca do Sandomierza, dla połączenia z dr. żel. z Krakowa do Lwowa. 3) z miasta Łodzi na Pabianice, Łask, Zduńską Wolę, Sieradz, Opatówek do Kalisza, dla połączenia z pruską drogą żelazną w Ostrowie. 4) z Kutna na Koło do Słupcy, dla połączenia z koleją zagraniczną idącą przez Wrześnię. c) Drogi żelazne proponowane. 1) z Ostrowca na Iwaniska, Stopnicę do Korczyna, dla połączenia z drogą Krakowsko-Lwowską. 2) z Częstochowy około wsi Borowic i Wężina, do granicy pruskiej, dla połączenia z drogą pruską idącą na Rosenberg. 3) z Sieradza około Złoczewa do Wieruszowa.—Na skutek postanowienia ogólnego zebrania akcyonaryuszów, zarząd drogi Nadwiślańskiej przystąpił do wybudowania sześciu przystanków na linii drogi Nadwiślańskiej, pomiędzy Warszawą i Lublinem. Dworce przystankowe wybudowane być mają: w Wawrach, Celestynowie, Wildze, Żyrzynie, Gołębzu, Klimontowicach i Konopnicy.

Wystawy.—Komitet Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie urzędują w roku bieżącym w miesiącu październiku czasową wystawę wyrobów z gliny, ze szkła i z drzewa. — Główny komisarz Wystawy Paryskiej r. 1878 czuje się w obowiązku przypomnieć panom wystawcom, że *Katalog* ułożony przez administracyę na zasadzie autentycznych dokumentów, dostarczonych przez komisye narodowe i komitety francuskie, przyjmujące okazy na wystawę, i wydrukowany z czcionkami drukarni narodowej, stanowi jedyny dokument z pomiędzy wszelkich publikacyj tego rodzaju, mający cechę urzędową. Nazwiska, imiona, stan i miejsce zamieszkania wystawców, jak również spis wystawionych przedmiotów zamieszcza się w katalogu bezpłatnie — nie dozwolone zaś są wszelkie ogłoszenia lub reklamy.

Sprawy mjejskie.—Przed rokiem, jak wiadomo, bawiący wówczas w Warszawie inżynier holenderski Baron van der Bogaerde opracował projekt zamienienia wybrzeża Wisły od mostu do Solca w elegancki bulwar, osłonięty od zalewów Wisły i pięknymi kamienicami zabudowany. Wojna i zastój w interesach ekonomicznych kraju nie pozwoliły mu wówczas projektu tego dalej pokierować na drodze urzeczywistnienia. Z przyjemnością jednak dowiadujemy się, że van der Bogaerde — czas wojny zużywszy na zapewnienie sobie pomocy kapitalistów holenderskich i belgijskich — niedługo, gdy spokój w Europie zapanuje, wznowie zamierza opracowany przez siebie projekt i tym razem doprowadzić go do urzeczywistnienia. — Przenoszenie poczty z gmachu, gdzie się obecnie znajduje, do przebudowanego gmachu na placu Wareckim już się rozpoczęło. W dniu 7 kwietnia, t. j. dzisiaj wszystkie wydziały zajmą lokale w nowym budynku i od tego dnia władze pocztowe zaczną tam funkcjonować. Co się stanie z gmachem pocztowym, ciągnącym się wążką szczyj pomiędzy ulicami Nowo-Senatorską i Krakowską-Przedmieściem, dotychczas jeszcze nie wiadomo.

b) Zagraniczna.

Nauki.—Nad rozwiązaniem przyczyn znanego zjawiska fosforescencji pracuje od lat dwóch profesor Uniw. Lwowskiego, Dr. Radziszewski. Odkrył on mianowicie w dziale aldehydów około 50 ciał, które w pewnych warunkach świecą; głównie ma to miejsce, gdy ciała te doznają reakcyi alkalicznej lub też gdy sztuczne alkaloidy, olejki eteryczne, tłuszcze płynne i t. d. zmieniają się w aldehydy. Najwybitniejsze zjawiska wydaje tak zwana lofina; gdy do kolby szklanej, w której był roztwór gryzącego potażu w alkoholu, wsypano trochę lofiny, mającej kształt włóknistej proszku i po nagraniu potrząśnięto kolbą, pojawiło się śliczne białe światło takiego natężenia, że z odległości jednej stopy można było rozpoznawać godziny na zegarku. Po rozwiązaniu kwestyi chemicznej pracuje obecnie p. Radziszewski nad stroną fizyczną swego odkrycia, ku czemu stosownie urządza aparaty.

Posiedzenia, odczyty i nominacje.—Na tygodniowym posiedzeniu skończonych techników we Lwowie 16 marca, wykladał p. Richter „O wykreślonym projekcie ruchu ziemi”. — Polacy, zamieszkali w Dreźnie, zamierzili z powodu jubileuszu Kraszewskiego wybić złoty medal z popiersiem jubilat, a na odwrotnej stronie laurowy wieniec, obejmujący napis: „Na pamiątkę 50-letniej pracy literackiej rodacy w Dreźnie”. W związku wienca na dole herb Kraszewskiego Jastrzębiec. Nam się zdaje, że tam najwłaściwiej byłoby położyć liczbę dzieł jego, bo to najzaszczytniejszy herb Kraszewskiego.—Ks. Polkowski miał odczyt „Szkolę w Polsce i ubodzy studenci krakowscy od najdawniejszych czasów” na dochód Tow. pomocy uczniom szkół ludowych krakowskich.—Na posiedzeniu komisji histor. sztuki krakow. Akad. p. Maryan Sokolowski wyłożył treść swej pracy o obrazach z XVI w., znajdujących się w skarbcu i w kaplicy Bonerów, kościółka Panny Maryi i Śgo Floryana w Krakowie, dowodząc, że autorem ich jest Hans Süss w Rumbach, uczeń Jakoba dei Barbari, współczesny Dürerowi. Postanowiono restauracyę tych obrazów. Rozpatrywano rysunki opracowane przez p. Wł. Łuszczewskiego kościoła Jana Jerozolimskiego w Gnieźnie i fotografię ciekawej cerkiewki w Kołodzy koło Grodna.—Komisya lwowska pod przewodnictwem Ant. Mateckiego postanowiła medal na cześć Kraszewskiego bić w Paryżu u pana Barrée, który już kilka medali polskich wypracował. (Fredry i in.) Napis na medalu będzie polski. — Towa-

rzystwo przemysł. polskich w Wrocławiu, którego celem jest uzdolnienie młodzieży poznańskiej do walki przeciwko germanizacyi na polu przemysłu, liczyło członków 50, miało odczytów 15: Głębocki 3 z historii polskiej i 1 „O panu Tadeuszu”; Drożyński „O mieszkaniach pod względem zdrowia”; Mądzejewski „O fosforze”; Danysz „O języku polskim”; Lewandowski „O jezuitach”; Dembowski „O księgach pielgrzymstwa Mickiewicza”; Wlazło „O pieniądzach”; Baum „O szewstwie”; Graff „O tapicerstwie”; Nierenstein „O telegrafii”; Tadrzyński „O pracy”. — Na posiedzeniu sekcji higienicznej Towarz. Lekarskiego Krakowskiego Dr. Lutostański mówił o projekcie założenia stacyi higienicznej w Krakowie, celem wykonywania prac chemicznych i drobnowidzowych, a także wykladał o naturalnej wentylacyi ścian budynków. — Tow. Lekars. Krakow. odbyło 22 posiedzenie, na którym Dr. Skorczewski odczytał ostatnią część pracy swej: O zwątleniu przewodu pokarmowego; Dr. Obtulowicz: O najnowszych środkach do wtryskiwań podskórnych. — Józef Supiński otrzymał od Cesarza Austriackiego tytuł honorowego doktora praw w państwie austriackim. — Na posiedzeniu Stow. ukończonych techników we Lwowie, profesor Zbrozek mówił: O nowszych konstrukcyach tacheometru. — Do Wiednia zjechał prof. Ernest Haeckel i będzie miał odczyt: O rozwoju duszy zwierzęcej i państwach zwierząt.—Na posiedzeniu czytelni akademickiej w Krakowie p. Cosel miał odczyt: O zmysłach. — Na posiedzeniu Akad. Nauk w Krakowie (wydz. matemat. fizyczny), prof. Hoff odczytał rozprawę: Przyczynę do znajomości białka. Dr. Skorczewski: O zachowaniu się tętnic i żył pod wpływem strumienia gazu kw. węglowego. — We Lwowie wykladał dla kobiet Dr. Żegota Krowczyński: O pielęgnowaniu skóry jako czynnika długiego życia i zdrowia.

Pismienictwo.—Rząd pruski w wydawanym przez siebie zbiorze aktów państwa zapowiada pomieszczenie: *Die ältesten Grossbücher Grosspolens, und Geschichte Herzog Albrechts v. Preussen und Urkunden über die Saecularisation des Ordenlandes.* — *Piosenek i gawęd humorystycznych* M. Rodocia opuścił prasę zeszyt VI. — A. Godin w Lipsku wydał *Polnische Volksmaerchen*, zbiór klechd podług Glińskiego. — P. R. Dąbrowski *Das Edelwild* pięknie wydane dzieło w Wiedniu. Tamże wydał E. Weruński: *O polityce włoskiej Innocentego VI i Karola IV.*—Drugi tom *Historji Zbrodni* opuścił prasę.—Litwa aż do Unii Lubelskiej, nakład Żupańskiego.—*Nowiny*, powieść Turgeniewa, Poznań. — Bulloch Hall, znany pisarz angielski, przełożył wszystkie pisma Zygmunta Kraszyńskiego na angielski język i takowe zamierza wkrótce wydać, aby tylko przekład był wierny! a nie taką przeróbką, jak tłumaczenie *Irydiona* przez lorda Lytton Bulwera, obecnego vice-gubernatora Indji, a syna znakomitego powieściopisarza.

Prasa peryodyczna.—Tygodnik poznański *Lech* rozpoczął powieść *Jeża „Lech, Czech, Rus”*. — Do wymienionych poprzednio pism w Poznańskim należy dodać *Ruch społeczno-ekonomiczny* w Poznaniu. — *Echo* krakowskie z pisma klerykalnego, zmieniwszy tylko drukarnię, przeszło w pismo anti-klerykalne, a dowcipne listy „Pani Apatyi” smagają klerykalizm krakowski! Dzieją się cuda! — *Diennik Polski* we Lwowie, skończywszy krótką nowelkę *Lama „Żona ze śniegu”*, rozpoczyna nowellę Sewera *„Zosia Żorawianka”*.

Wiadomości społeczne.—Prof. Janikowski w Krakowie, jak corocznie, tak i w obecnym poście zapowiedział trzy odczyty bezpłatne o ratowaniu osób na pozór umarłych lub nagłą utratą życia zagrożonych. — Fortepianom grozi w Niemczech niebezpieczeństwo opodatkowania po 30 marek od sztuki rocznie, co dałoby państwu około 15 milionów marek. — W Krakowie rada miejska zatwierdziła budowę szkoły sztuk pięknych wprost bramy Floryańskiej i muzeum Czartoryskich za 100,000 guld., budowy koszar straży za 105,000 guld.; Sukiennice w tym roku będą skończone, przynajmniej piętro dolne; jak również pięć budynków na rzeźalnię, szkoła miejska na Kleparzu, także na Stradomiu, domu dla opraocy; natomiast będzie zburzony dom straży w rynku przy Sukiennicach.—Lwów wynalazł sobie tani sposób uczczenia jubileuszu Kraszewskiego: oto świeżo projektowana ulica otrzyma nazwę Kraszewskiego; dzienniki miejscowe tem się mocno cieszą, że ona będzie szła równolegle z ulicą Mickiewicza, a pionowo przecinać ul. Słowackiego!—Szef jednej z najstarszych firm w Pradze Czeskiej F. J. Grund Synowie, p. Karol Grund ogłosiwszy bankructwo z 1¼ milionem guld., został aresztowany, co na społeczeństwie tamtejszem sprawiło nadzwyczaj silne wrażenie. — W okolicach Halicza panowała w tym roku groźna między dziećmi difteritis. — Municypalność Florencyi zawiesiła swe rachunki i wyplaty, co było dawno do przewidzenia. Przyjdzie jeszcze kolej na Neapol.—Z 1,000 wagonów austriackich, użytych w Rumunii, tylko 300 przyjęto, reszta z powodu zanieczyszczenia nie może być wprowadzoną w granice Austrii. Komisya Galicyjsko Bukowińska proponuje dezynfekcyę kolei wzdłuż całej linii i stacyi, oraz kordon sanitarny, aby nie wpnieć do kraju tyfus i księgosuszu. — Na medal dla Kraszewskiego wpłynęło dotąd 247 guldenów w Galicyi! — Tissot, który najnowszym dziełem Wiedni i Wiedeńczykowie niekoniecznie zachwycił Europę, wybiera się w podróż po Galicyi i Węgrzech.—Wydział czytelni aka-

demickiej we Lwowie zamierza z powodu jubileuszu Kraszewskiego wydać „Album akademickiej młodzieży polskiej”. Projekt ten najgoręcej popieramy. — Przystąpiono pod przewodnictwem prof. Lepkowskiego w Krakowskiej Katedrze do zdejmowania bieli pokrywającej wewnętrzne ściany sklepień, a to celem odkrycia malowideł z końca XVI w. pochodzących. — W Berlinie wprowadzają dwa nowe podatki „gazowe”, które dadzą 1,750,000 i „konne” po 20 marek od konia, 400,000 marek rocznie. — Donoszą, iż zmarły w Wiedniu pułkownik Zahorski (Zagorski), przeznaczył 500,000 guldenów na cele dobroczynne z uwzględnieniem narodowości polskiej, a także i dobroczynnych zakładów wiedeńskich. — Podczas Wystawy Paryskiej od 6 do 15 czerwca będzie miał miejsce kongres literacki pod prezydencją Wiktora Hugo. — Prawdziwie smutne zrobiono odkrycie, iż mnóstwo robotników polskich z Poznańskiego i Prus przenosi się do Westfalii, gdzie między nimi nawet powstały stowarzyszenia. Pierwsze takie stowarzyszenie założono w Dortmund 1 stycz. 1877 pod nazwą „Jedność” za staraniem Hipolita Sybilskiego; drugie w Bochum, w grudniu r. z., liczy 65 członków. Stowarzyszenia te są albo popadną w ręce jezuitów, jak wszystkie polskie. — Tow. pedagogiczne lwowskie postanowiło przesłać J. I. Kraszewskiemu adres, album, oraz wydać jego życiorys i rozesłać takowy w tysiącach egz. nauczycielom ludowym w Galicyi i na Szląsku dla rozdania bezpłatnego, urządzić w dzień jubileuszu obchody z odczytami, prelekcjami, czytaniem ustępów z jego utworów po wszystkich oddziałach stowarzyszenia.

Przemysł. — Na posiedzeniach ankiety górniczej obradującej we Lwowie, postanowiono w różnych kierunkach po Galicyi przedsięwziąć wiercenia bez ściślejszego nakreślenia celu poszukiwaniom, lecz dla nabrania dokładniejszego wyobrażenia o geologicznym składzie kraju, aby następnie rozpocząć poszukiwania specjalne, w miarę odkrytych stosunków. — Hersz Goldhammer otrzymał w Austrii przywilej 2-letni na sporządzanie masy podobnej do wosku pszczelnego z wosku ziemnego.

Sztuki piękne. — P. Sosnowski z Rzymu i Gadomski z Krakowa ofiarowali bezpłatnie wykonanie pomnika dla Piusa IX w Krakowie. — Najnowszy obraz Hansa Makarta, *Wyjazd Karola V do Antwerpii*, zwraca powszechną uwagę, nie tylko jako pyszna kompozycja, ale i jako obraz zawierający portrety najpiękniejszych kobiet w Wiedniu.

Teatr i muzyka. — Na benefis p. Wojnowskiej, artystki Teatru Krakowskiego, przedstawiono *Nelly Armroyd*, którą p. Aszpergerowa widziała w Londynie i do tutejszej zastosowała sceny. — Dyrekcya Teatru Lwowskiego udzieliła od 1 czerwca na 3 miesiące urlop bez pensyi artystom opery; podobno mają oni na własną rękę próbować szczęścia w Lublinie. — Pan Józef Worobecki wydał we Lwowie *Trzy mazury*, które wróżą w nim zręcznego kompozytora tańców. — Na scenie lwowskiej przedstawiono *Mąż od biedy* Bliźnińskiego i *Uproszczone Złoty*, komedya poleciona do grania przez obecny konkurs. — W Zaleszczykach, w Galicyi, bawi dramatyczne towarzystwo p. Emila Baczyńskiego, które daje przedstawienia w języku polskim i rusińskim. — Smietański zapowiedział koncert w Krakowie. — Na krakowskiej scenie przedstawioną będzie na benefis p. Galasiewicza dramat Rapackiego *Małko Borkowicz*. — Na lwowskiej scenie, na benefis p. Fiszera daną będzie Dennergo i Nus *Uboży w Paryżu*, na benefis Ładnowskiego *Narcyz Rameau*.

Zmarli. — Dr. Mayer Juliusz Robert, znany odkrywca teorii mechanicznej ciepła, ur. 1814 r. w Heilbron, † tamże 20 marca. — M. Lamy, prof. chemii w szkole centralnej paryskiej, znany odkrywca thalium, † w Paryżu, w 55 roku życia. — Ernest Keil, właściciel znanego Gartenlaube, † w Lipsku.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Najdomyślniejsza przenikliwość musi w obecnym zawikłaniu politycznym przyznać się do niewiadomości. Jeżeli czynni w sprawie wschodniej dyplomaci mogli dotąd przewidywać na miesiące, to chyba dziś przecucia ich sięgać mogą ledwie na dni. Zrzekłszy się więc całkowicie jakiegokolwiek jasnowidztwa, zanotujmy tylko fakta wiadome. Najwydatniejszym z nich w ciągu ubiegłego tygodnia była podróż generała Ignatiewa do Wiednia dla zyskania austriackiego rządu i odosobnienia Anglii. Według zapewnień dziennikarskich próba ta nie udała się tak dalece, że nawet puszczono wieść, czy Rosya nie porzuci myśli przymierza z Austryją i nie połączy się z Anglią. Nie widzimy dotąd wszakże ani jednego znaku, któryby wieść tę sprawdzał. Owszem naprężony stosunek dworu petersburskiego z an-

gielskim wyteża się coraz bardziej i grozi lada chwila stanowczym zerwaniem. Tak przynajmniej wnosić można z ostatnich depesz. Głoszą one nawet, że w ostatnich dniach między dworami angielskim i austriackim nastąpiło silne zbliżenie. Zbliżenie to było po części następstwem dymisji Derbego, który był najgłośniejszym kielczem wojennych zapędów Anglii i tamował jej kroki w kierunku potrzebnych na ten cel związków. Jego następcą, lord Salisbury, zaraz po objęciu teki ministerstwa spraw zagranicznych, rozesłał do przedstawicieli swego dworu za granicą okólnik, w którym zapowiada w kwestyi wschodniej politykę niezłomności i obrony interesów angielskich. Równolegle z tą działalnością rządu, który po ustąpieniu Derbego ujednotajnił swoje dążenia w duchu zapatrywań lorda Beaconsfielda, zaczyna się znowu rozlewać przytłumiony i sterroryzowany od pewnego czasu prąd przeciw wojennej opozycji. Jeżeli wszakże wypadki w pomoc nie przyjdą, będzie on sam przez się za słaby do powstrzymania gwałtownego wojennego ruchu większości narodu, parlamentu i gabinetu.

Jakkolwiek gazety nie przestają ciągle uwiadamić, gdzie jest każdej chwili „punkt ciężenia” polityki, my jednak przypuszczamy, że jest wszędzie i nigdzie, że charakterystyczną cechą obecnej chwili jest szukanie przymierzy i że od ukształtowania się związków zależą dalsze losy sprawy wschodniej. Dlatego to bieżący moment zawiera w sobie tak wiele niepokoju a tak mało usprawiedliwiających trwogę czynów.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

Wpływ, jakiego spodziewaliśmy się po szesnastomarkowej obniżce wartości rubla w Berlinie, nie był o tyle silnym, o ile paraliżowany został nieco mniej gorszymi notowaniami nadesłanymi z Petersburga, co jednak nie przeszkadzało temu, ażeby za markę nie płacono 51 kopiejek. Reakcya w kierunku zwykłym objawiła się w ostatnim dniu tygodnia w Berlinie, utrzymując się do poniedziałku, w dalszych kilku dniach z małemi zbczeniami. Taki stan rzeczy był stanowczo niekorzystnym, ujawnił on bowiem chronicznie przesilenie, do którego trzeba się było przyzwyczaić. Ponieważ był to w ogóle stan tymczasowy, przeto zgodzono się nań jako malum necessarium w tej jednak pewności, że deprecyacja waluty w postaci 200 marek za 100 rubli jest ostateczną granicą, po za którą wartość rubla nie dozna redukcji. Oczekiwanie te zostały zawiedzione, bo we czwartek depeszowano z Berlina 194 $\frac{1}{2}$ marek za sto rubli, w chwili zaś gdy to piszemy, otrzymujemy telgraficzny kurs 201 z Berlina, czyli 14 marek wyższy w porównaniu z zesłotygodniowym kursem tego samego dnia. Jest to mało, ale jeśli ma być zapowiedzią lepszej przyszłości, to możemy i z tego być zadowoleni.

Nie łatwo jest streścić obraz działalności giełdy warszawskiej w zeszłym tygodniu. Z każdym dniem bowiem fluktuacje wynosiły kilka procent już to w kierunku zwykłym, już przeciwnym. Znadto zniecierpliwiono, ażeby czekać zwykłych wskazówek kursowych z Berlina lub Petersburga, giełda nasza pragnąc koniecznie być samodzielną, wytwarzała sobie podstawę operacyjną dla swoich spekulacyjnych zamiarów albo z własnej domyślności albo z depesz przedgieldowych berlińskich. Niemalż też rolę odgrywały poglądy większych spekulantów, którzy odpowiednio na giełdzie operowali, zmieniając przytem taktykę w trakcie jednej i tej samej giełdy, prawdopodobnie dla wprowadzenia w błąd nieświadomych. Dla wyjaśnienia sytuacji przytaczamy kurs najniższy z wtorku, 165 $\frac{1}{2}$ (148.50) i najwyższy z czwartku 172 $\frac{1}{2}$ (155.25). W piątek zaś wahanie było najbardziej znaczne. Pomimo ważnych kursów berlińskich, rozpoczęte na zasadzie wiadomości z Petersburga po 170 $\frac{1}{2}$, z którego cofnięto się na 168 $\frac{1}{2}$, ażeby potem wskutek zwiększonego popytu wrócić do 169 $\frac{1}{2}$. — Marka niemiecka kosztuje więc 51 kop., frank 42 kop., gulden 84 $\frac{1}{2}$ kop., półimperyal 8 rs. 50 kop.

Papiery publiczne były znowu bardzo poszukiwane na rachunek zagranicznych kapitalistów i podniosły się w cenie. Za listy zastawne płacono do 99, za listy likwidacyjne do 87, za listy zastawne miejskie I seryi do 94, drugiej do 93 $\frac{1}{4}$, trzeciej 92.65 kop. Pożyczki premiowe najprzód po 224 a później kilka rubli taniej. Pożyczka Wschodnia 93 $\frac{1}{4}$ w małych, 94 w dużych sztukach.

W skutek wyższych kursów wekslowych, rynek zbożowy w silnem znajdował się usposobieniu. Ceny

zaś zboża uległy podwyżce. Pszenica pstra rs. 8 ko. 50; jasno pstra rs. 9 kop. 45, biała rs. 9 kop. 80, wyborowa rs. 10 kop. 75; żyto rs. 5 kop. 60; groch rs. 6 kop. 75, groch na paszę do 6 rub.

DO WSZYSTKICH.

— Z powodu częstego pośrednictwa naszej redakcyi w przesyłce prenumeraty na jubileuszowe wydawnictwa Kraszewskiego, uważamy sobie za obowiązek uwiadomić szanownych abonentów, że jak dotąd tak i nadal wpływów tego rodzaju ogłaszać nie będziemy. Ujawnianie ich bowiem, nie licząc straty miejsca, uważamy za bezcelowe i jedynie właściwe dla ofiar publicznej dobroczynności, do której prenumerata wydawnictwa na cześć Kraszewskiego nie należy. Oświadczenie to jednak z naszej strony nie jest wcale zarzutem przeciw tym, którzy inną obrali drogę.

— *Stalemu prenumeratorem w Kijowie*. Dzieł takich, jak Bielińskiego i Dobrołubowa, w krytyce polskiej nie ma. Podobno ma być tylko wydany zbiór sprawozdań o najnowszej literaturze naszej w Poznaniu.

— *P. L. Dąb*. Życzenia załatwione. Dziękujemy serdecznie za życzliwą o nas pamięć. Co do obu gazet — prosimy; co do smutnego westchnienia, ciągle ono nam się jak i Panu z piersi wyrывa. Tak, oby wytrwać.

— *P. P. G-skieniu, G-owi, Sz-skieniu, C-mowi i L-wowi w Warszawie*. Zdania naszego w przedmiocie dotkniętej przez wszystkie pisma awantury z wiadomym feljetonistą, z przyczyn od nas niezależnych, wyrazić nie możemy.

— *P. Rokicki w Rzeczy*. Firma, o którą Pani zapytuje, jest tak znaną, że można adresować listy wprost na ulicę Miodową bez obawy niedojścia.

— *P. K. Gasz w Sannikach*. W każdej większej księgarni.

— *W. P. Mał w Mosznach*. Adres J. I. Kraszewskiego: Drezno, Norden 27.

Nadesłano: *Na fundusz wsparcia studentów Nowal. Instytutu z dochodu za dzieło prof. Karpińskiego „O chodowli Ryb”*: Leitneker, z Orenburga rs. 1.

— Nowo przybyłym od kw. II prenumeratorem, jesteśmy w możności dostarczenia na żądanie dwóch numerów 12 i 13, w których rozpoczęty został dramat Wl. Okońskiego „Piękną”.

SPROSTOWANIE.

W dramacie *Piękną* Nr. 12, str. 135, szp. I zam. *Heryk* winno być *Henryk*; szp. III, wiersz 16 od dołu zam. *polega* winno być *podlega*; Nr. 13, str. 147, szp. I, wiersz 21 od dołu, zamiast *jej córki*, winno być *jego córki*.

W celach rozwoju oświaty ludowej, *Redakcya Przeglądu Tygodniowego* przedsięwzięła wydawnictwo szeregu dla ludu wiejskiego i miejskiego zastosowanych dziełek, oddając takowe *po cenie kosztu*. Z tych dotąd wyszły opracowane przez *Hipolita Bogumita Tarczynskiego*:

Pierwsze wiadomości o Świecie.

Cena kop. 7 $\frac{1}{2}$.

Jakie są obowiązki Obywatela.

Cena kop. 20.

Dalsze książeczki w odpowiednich odstępach czasu wychodzić będą.

Wyżej wymieniony autor przygotowuje do druku dwutomowe dzieło p. t. *Stan oświaty ludu czyli gminu u nas, od najdawniejszych do dzisiejszych czasów*. Zdaje się, iż dzieło to mocno zainteresuje stan nauczycielski i w ogóle światłą publiczność.

WOJNA WSCHODNIA 1877/8 r.

Illustrowana.

wyszedł Seryi III, Zeszyt C. (dodatkowy).

Cena zeszytu kop. 10, z przesyłką pocztową kop. 15.

ŚWIAT

Dwutygodnik Illustrowany dla Młodzieży i Dzieci wyszedł № 6.

Do dzisiejszego numeru dla wszyst. prenum. dołącza się ark. Panteonu (Ziemia i jej mieszk. t. IV. ark. 3).